

PREZENTUJEMY

Ks. Tymoteusz

**Nad Tryptykiem
na jubileusz**

Co mówisz górski strumieniu?
Człowiek się zadziwił!
Morze w górach ma swe Oko,
a Czarna Hańcza zauroczyła
Gąsienicowy Staw.

Człowiek szedł pod prąd,
do góry,
przez wodogrzmoty
do źródła,
które starannie ukryto
tajemnicę początku.

Wezwany z Ur rodzinnego
obcemu miastu mówić:
umitowaneś jest
i błogosławięś mu
w obcym języku
urbi et orbi,
na trzech stojąc koronach
a sam bez korony.

Sosna jednak uwiędła
w kłębowisku
świętości i grzechu.

Wołałeś u nas:
Niech zstąpi Duch,
więc zstąpił.
I powiał wiatr od morza
aż drgnęły kamienie.
Poleciały jak lawina,
runął mur,
pękły kraty
spadła kurtyna.

Stary Łąd
miał odetchnąć
dwoma płucami.

Obudził się ten,
co gwiazdy zmiata
ogonem.
Plunął śmiercią
na Widzącego daleko.
Strzał.
Cisza.
Krew.

Modlitwa

*Niewiasta obleczona w stołce,
z Krzeptówek,
zobaczyła
w pięknym lustrze
Morskiego Oka
skrwawiony pierścień Rybaka.
Pobladała.
Sięgnęła.
Otarła.
I ocaliła.*

*I znów jesteś,
a najbardziej jesteś,
gdy odchodzisz
po krawędziach medytacji
na Rysach Wszchemocy,
ostonięty Obłokiem
na górze Tabor
i budujesz namioty szczęścia.*

*Odchodzisz pod dęby
w dolinę Mamre
uwielbiać Trój Jedyne.*

*Odchodzisz
składać ofiarę*

*na wzgórzu Moria
Bez-kresnemu,
Niewypowiedzianemu,
Który Jest
a Ty zapamiętałeś to miejsce
i przyszedł dzień.*

*Otworzyliśmy szeroko drzwi.
Przekroczyliśmy próg nadziei.
Zajaśniał Blask Prawdy.
Ucałowały się Rozum i Wiara.
Więc dobre czasy nadchodzą.
Niech wejdzie Odkupiciel Człowieka
Bogaty w Miłosierdzie.*

*Polećcie polskie gołębie,
z białoczerwą w błękitcie,
na Plac Piotrowy, wysoko,
od naszej Księżnej Łowickiej.*

*Z mazurkiem Chopina lećcie,
z oberkiem wróćcie do wierzb.
Reszta niech będzie milczeniem.
Przecież Ty, Ojcze, wszystko wiesz.*

Ty wiesz...



foto G. Gałązka

POWŚCIAGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – ks. Tymoteusz 2
- W BLASKU SERCA – ks. M. Gładysz CSMA 3
- ETYCZNA BUSOLA – P. Smogorzewski 4
- BÓG NA ULICY – M. Przybysz 5
- EUCHARYSTIA – MM 6
- NAPRAWIĆ WSZYSTKO W CHRYSUSIE – ks. J. Seremak CSMA 7
- JAK ZMIENIŁA SIĘ POLSKA SZKOŁA – B. Fedyszak-Radziejowska 8
- ROTMISTRZ – S. Niesiołowski 10
- POLITYKA KATOLIKA – P. Skórzyński 11
- PAMIĘĆ KATYNIA – E. Zdanowicz 12
- LEKCJA AUTENTYZMU – G. Pyszczek 13
- MOWA SPIŻU – z J. Felczyńskim rozmawia J. Korcz 15
- GIPSOWY ANIOŁ – H. Oleschko 17
- MICHALICKIE DUSZPASTERSTWO POWOŁANIOWE 18
- MALARZ MAZOWSZA – J. Kossakowski 19
- UJAWNIEŃ – J. Trammer 19
- NA FUNDAMENTACH PRL-u – J. Wegner 20
- ABORYGENI – A. W. Pawluczuk 21
- V PRZYKAZANIE – M. Szreder 22
- LAURKA DLA ATEIZMU – T. Wyszymirski 22
- SZATAŃSKIE WERSETY – M. Klecel 23
- SPONSOR – A. Sokół 24
- MISJONARZE ŚW. RODZINY – Duszpasterstwo Powołań 24
- LIST DO REDAKCJI – A. Podgórski 25
- REWOKUJĘ – S. Michalkiewicz 25
- DZIECI NAS ROZLICZĄ – A. W.P. 26
- PANIE, NAUCZ NAS MODLIĆ SIĘ – rec. ks. M.G. 27
- BÓG ZAPŁAĆ 2003 (FOTOREPORTAŻ) – P.S. 28

FOT. OKŁADKA I – G. Gałązka

FOT. OKŁADKA II – P. Życielski

Numer zamknięto 20 maja 2003 r.

ks. Mieczysław Gładysz

W blasku Serca



*Przepaść przywołuje przepaść – mówił Mędrzec Pański
prawie 2500 lat temu. Nasze czasy, pełne niesamowitych
sprzeczności i zaskakujących kontrastów, są tego oczywistym
potwierdzeniem.*

*Nie tak dawno, w poczekalni u dentysty, byłem mimo-
wolnym świadkiem przeuroczej dyskusji: – Wiesz Pan –
mówił jegomość z siwiuteńką czupryną do dominującego
wzrostem chudzielca – w PRL-u to były lepsze czasy niż te-
raz. Wtedy to albo z gościem robiono kęsim, albo mu zmie-
niano mieszkanie. W jednym i drugim przypadku zaraz był
święty spokój. A teraz – rozumiesz Pan – niby kogoś złapią,
niby się procesują, a przecież spokoju i tak nie ma. Sprawy
na procesach zamiast się wyjaśniać – gmatwają się, sędzio-
wie często mieszają ofiarę z napastnikiem, oczernianego
z oszczercą...*

*– A ja, Panie kochany – wtrącił się chudy – powiem Panu
historię sprzed prawie dwóch tysięcy lat, a jakby ona dzi-
siejsza była. Otóż na Pustyni Tebaidzkiej w trzecim wieku
żyło wiele wspólnot mniszych. Uciekali od zgiełku świata,
od legionów rzymskich, oddawali się bogomyślności. Ale
i tam sięgały macki władzy cesarza. Do jednej takiej mniszej
wspólnoty podstawiono człowieka zasobnego, który grał rolę
dobroczyńcy mnichów, a w rzeczywistości był donosicielem.
Pewnego razu uczestniczył w modlach mnichów. Opat tej
wspólnoty zaczął modlitwę tymi słowami: *Ojcze, Panie nieba
i ziemi, jeżeli nasi wrogowie chcą nas zniszczyć i okryć wsty-
dem i pogardą – nie dozwól by przez nas cierpieć... I wie
Pan, tego niby-przyjaciela ta modlitwa tak zaszokowała, że
nawrócił się i został prawdziwym przyjacielem i dobroczyń-
cą, a nawet obrońcą owych mnichów... Bo najważniejsze to
nie fakt czy z Europą, czy z Azją, czy z Ameryką... Ważne, by
przez nas nikt nie musiał cierpieć. I to wszystko...**

*– Dobra pointa, nie tylko na rozmowy w poczekalni den-
tystycznej, ale nawet na najwyższych stopniach polityki
i gospodarki – powiedziała pani ze spuchniętym policzkiem.
A ja sobie pomyślałem: zwłaszcza na czasy wszelkich refe-
rendów, wyjazdów na wczasy, na egzaminy, rekolacje
(a jakże!). Gdybyż to wszystko można było skutecznie
w blaskach Miłosiernej Miłości Serca Jezusowego...*

*Wszystko z tą jedną myślą: Nie dozwól, Panie świata,
by ktokolwiek musiał przez nas cierpieć... Czy istniałby
wtedy problem zdradzonych miłości, sierociej krzywdy,
wyzysku przyjaźni? ■*

RECENZJA

Etyczna busola

Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z edytorskim wydarzeniem roku. Dzięki Wydawnictwu *Michalineum* do rąk Czytelników dociera właśnie zbiór *Listów Pasterskich Episkopatu Polski* ogłaszanych w ciągu ostatnich pięciu i pół dekad: w latach 1945–2000. Wiedza zawarta w tych memoriałach będzie miała dla badaczy najnowszej historii naszej Ojczyzny wartość wprost nie do oszacowania. Raz jeszcze potwierdza fakt (ileż to razy również i obecnie podważany przez różne maści wrogich katolicyzmowi propagandystów), że Kościół zawsze, a szczególnie w najtrudniejszych chwilach, stał przy narodzie, wciąż zabiegając i troszcząc się o jego materialny byt i moralną kondycję.

Z pewnością nie ma w Polsce niko- go – szczególnie wśród naszych starszych Czytelników – kto nie pamiętałby tej chwili, gdy podczas niedzielnej Mszy św. kapłan od ołtarza ogłaszał, iż, zamiast tradycyjnej homilii, wierni wysłuchają biskupich słów. W kościelnych nawach zapadała cisza. Tym znaczącej- szą i bardziej wymowną, im głębiej jako państwo tkwiłszy w objęciach wrogiej, bo komunistycznej ideologii. Wierni mieli bowiem świadomość, że przyjdzie im przeżyć chwile niezwykle – chwile prawdy, gdy będzie się mówiło za nas, nie mających głosu, o nas samych. Gdy dowiemy się więcej niż moglibyśmy wyczytać we wszystkich tytułach prasowych, usłyszeć w radiowych audycjach czy zobaczyć na ekranach telewizorów.

Listy Pasterskie Episkopatu Polski były bowiem, od pierwszego z nich, który ogłoszony został w grudniu 1945 roku, za czasów przewodzenia Kościołowi w Polsce przez Prymasa Augusta Hlonda, dla zniewolonej, pozbawionej możliwości czynnego dopominania się o własną godność większości, niczym powiew ożywczego powietrza. Odno-

sząc się do spraw najważniejszych dla funkcjonowania kraju i dla narodowego życia, informowały oraz ostrzegały. Wskazywały moralną marszrutę. Były etyczną busolą na zdeprawowanych wodach materialistyczno-bierutowskiej rzeczywistości. Mówiły o rodzinie, przypominając o jej wartości zarówno dla jednostek, jak i całego społeczeństwa. Upominały się o prawo do istnienia dla tych najbardziej bezbronnych – dla dzieci nienarodzonych. Piętnowały narodowe przywary – z główną na czele, jaką przez dziesięciolecia jest pijan- stwo. Nakazywały poszanowanie zawo- dowych obowiązków. Apelowały o religijne wychowanie dzieci i wzywały młodzież do nieodchodzenia od wiary ojców. Uczyły szacunku dla historii i tradycji. Przypominały o znaczeniu rodzi- nej kultury dla rozwoju narodowej wspólnoty. Nic dziwnego więc, o czym pisze w słowie otwierającym te dwa, li- czące blisko trzy tysiące stron, opasłe tomy **Prymas Polski – kard. Józef Glemp: niektóre Listy w czasach stalinizmu przekazywane były do poszczegól- nych parafii tylko w formie maszyno- pisów, gdy zaś uzyskiwano zgodę na ich publikację w szerszym zakresie – to ich treść najczęściej kaleczona była no- życami cenzorów...**

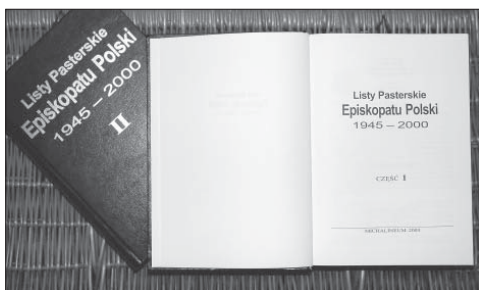
W nastroju zadumy i skupienia wsłu- chiwano się zresztą nie tylko w głos hier- archów, kiedy miał on przypominać politykom o ewan- gelicznych obowiązkach wobec powie- rzonych im pieczy obywatelom. Setki kart swych memoriałów biskupi po- święcali bo-

wiem również sprawom wewnątrzko- ścielnym decydującym o jakości spra- wowanej przez duchowieństwo posłu- gi duszpasterskiej. Wiele swych myśli i wysiłków poświęcili oni też propaga- waniu wiedzy o modernizacji życia Kościoła, jaka zainicjowana została przez obrady i konstytucje *Soboru Wa- tykańskiego II*. Z ogromną troską zaj- mowali się również swymi braćmi w kapłaństwie, udzielając ojcowskich rad i pouczeń, tak iżby ci nigdy nie zapomnieli, iż *będąc z ludu wziętymi, do ludu zostali posłani...*

Z dumą i radością odnotowują też hierarchie wielkie narodowe i ko- ścielne rocznice, wiedząc że z pamięci o przeszłości rodzi się nadzieja na god- ną terażniejszość i chwalebna przy- szłość. Do szczególnie wzruszających należą te z biskupich odczw, które ob- wieszczają o wyborze na Piotrową Sto- licę kardynała metropolity krakowskie- go Karola Wojtyły oraz późniejsze – wydawane w oczekiwaniu na przyjazd do ojczyzny Chrystusowego Namiestnika. Do zawartych w nich słów powinniśmy wracać, i to jak najczęściej. Wciąż nie- zwykła jest ich waga i aktualność. Są bowiem jakby gotowymi programami na uzdrowienie naszej, coraz bardziej du- chowo chorej rzeczywistości.

Paweł Smogorzewski

Listy Pasterskie Episkopatu Polski 1945–2000 (dwa tomy); słowo wstępne: **Prymas Polski kard. Józef Glemp**; wprowadzenie: *Szkie- do dziejów Kościoła w Polsce 1945 – 2000* – ks. Andrzej Gałka; redakcja: bp Piotr Libera, ks. Andrzej Rybicki CSMA, ks. Sylwester Łacki CSMA; Wydawnictwo MICHALINEUM 2003; ss. 2543 (I i II t.).



Jezus Chrystus przechadzający się ulicami miast wśród milionów ludzi tak blisko, namacalny, widoczny, dający się poczuć... To nie bajka, ani scenariusz religijnego filmu science fiction. To uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, która powinna być ważnym wydarzeniem w życiu każdego katolika. Pod osłoną chleba i w towarzystwie przynajmniej setek tysięcy ludzi Jezus Chrystus wychodzi na spotkanie również do tych wszystkich, którzy nie chcą przyjść do Niego. Idzie do ludzi małej wiary, leniwych, zagonionych, zapracowanych... Czym zaś jest tak zwa- ne Boże Ciał dla uczestników procesji? Czy nadal pozostaje wydarzeniem manife- stacji wiary w obecność Chrystusa w postaciach eucharystycznych? Czy na pro- cesji pójda z nami również nasze dzieci? Czy chodzimy tam z tradycji, czy publicz- nie wyznajemy swoje zaufanie Panu Bogu?

Bóg na ulicy

Monika Przybysz

Wdzięczność

Wiara mają budzić i rozpalać proce- sie Bożego Ciała. Tłumy ludzi podążają za Najświętszym Sakramentem po... No właśnie: po co? Wielu idzie za Bogiem ukrytym w małym kawałku chleba, aby na nowo uświadomić sobie to, co teoretycznie wierzą – że Bóg jest obec- ny między nami, że chce wchodzić w nasze życie, że sam wychodzi do nas ze świątyni, bo pragnie być obecny tak- że w codzienności, w gwarze ulicy, w upale, deszczu, czy trudzie wędrowania... Chce iść do każdego człowieka. Dzieńmiasty czerwca to czas bliski po- czątkowi urlopów i wakacji. Uroczystość Bożego Ciała może stać się okazją – dla dorosłych do podziękowania Panu Bogu za czas pracy, dla dzieci – za okres na- uki, zebrane oceny, a dla wszystkich – za wszystkie otrzymane łaski. Wydarze- nie to może być także świadomym za- proszeniem Jezusa Chrystusa, by towa- rzyszył nam w czasie wakacyjnego wy- poczynku.

Radość

Myśląc o wolnych chwilach i dłuż- szym *weekendzie* może się jednak w młodych ludziach zrodzić chęć odpoc- czynku, wyjazdu do znajomych lub inne – mniej ciekawe pomysły. Znajdując się pod wpływem kolegów, reprezentują- cych różne zaangażowanie w sprawy religij, nasze dzieci być może stwierdzą, iż ta uroczystość nie jest aż taka waż- na... Zachęcenie dzieci do świadomego udziału w procesji może odnowić spoj- rzenie na tę uroczystość. Wystarczy za-

dać sobie pytanie, co mnie cieszy w tym dniu najbardziej – czy czas wolny, czy możliwość spotkania się z Jezusem Chrystusem żywym i prawdziwym, obecnym w Eucharystii?

Zwąpienie

Wydawałoby się, że jest to jedna z wielu uroczystości kościelnych. A jed- nak *Boże Ciał* to ważne wydarzenie. Łączy się ono z kwestią wiary w obec-ność Jezusa Chrystusa pod postaciami eucharystycznymi. Wątpliwością co do tego miał pewien niemiecki kapłan Piotr z Pragi, który pewnego dnia, w 1263 roku, pielgrzymując do Rzymu, zatrzy- mał się w miejscowości Bolsena we Włoszech. Był pobożnym księdzem, lecz często brakowało mu wiary w realną obecność Chrystusa podczas Mszy Świę- tej w konsekrowanym chlebie i winie. I to właśnie on stał się świadkiem cudu, podczas którego po przeistoczeniu z ho- stii na jego ręce i korporał zaczęły spły- wać krople krwi. W sąsiednim mieście Orvieto przebywał wtedy papież Urban IV, tak więc ksiądz Piotr udał się tam bezzwłocznie z prośbą o wysłuchanie i przebaczenie. Zbadano fakty, przesłu- chano świadków, a korporał ze śladami krwi złożono w katedrze w Orvieto, gdzie do dnia dzisiejszego jest wystawio- ny i czczony. Pod wpływem dokonane- go cudu w sierpniu następnego roku pa- pież Urban IV ogłosił święto *Bożego Ciała*.

Reklama

W refleksji nad tą uroczystością nie sposób nie przypomnieć sobie postawy

chrześcijan w pierwszych wiekach, któ- rzy odważnie przynawali się do swojej wiary. Niekiedy oddawali życie za Chrystusa rozszarpywani na arenach przez dzikie zwierzęta. Procesja *Boże- go Ciała* staje się dziś również swoistą areną, na którą wchodzi bez lęku tylko ci, którzy przynają się do Chrystusa. Kroczenie ulicami miasta za Najświęt- szym Sakramentem jest manifestacją wiary, ale może stać się również świad- cstwem dla rodziny, znajomych, przy- jaciół. Przyznanie się do udziału w pro- cesji może być reklamą Pana Boga, a wy- pieranie się tego faktu lub ukrywanie go – dowodem na brak wiary. Jeśli człowiek kogoś kocha, to nie myśli przecież o wstydzaniu ani lęku...

Rzut oka na Boga

Z procesją *Bożego Ciała* jest podob- nie jak z Drogą Krzyżową Jezusa praw- wie dwa tysiące lat temu. Gdy On szedł na mękę, Żydzi różnie reagowali na to wydarzenie. Niektórych ta sprawa w ogóle nie interesowała. Przygotowy- wali się do święta Paschy, a zbiegowi- sko ludzi mogło im nawet trochę prze- szkadzać. Podobnie reaguje również wielu współczesnych ludzi – po prostu obojętnością: – *Procesja? Nie, dziękuję. Nie interesuje mnie to. Jest mi to obojęt- ne, czy to Boże Ciał, czy inna szopka...* Ważne, że to jeden dzień więcej wolnego od pracy. Rzucając okiem na przechodzą- cego Boga i zajmując się swoim sposobem świętowania tego wolnego dnia.

Znajdą się i tacy, których uroczystość *Bożego Ciała* drażni. Uwierzyli, że reli- gia to sprawa prywatna – mit szerszy przez media zapadł w ich świadomości na dobre. Manifestacja przynależności do Chrystusa setek tysięcy ludzi jest więc dla nich wyrzutem sumienia. Również za czasów Chrystusa byli tacy ludzie, którzy drwili z Niego i wyszydali Go... Co ciekawe – nawet ci niezadowoleni z uroczystości czerpią z niej korzyści, bo przecież dzięki temu mają kolejny dzień wolny od pracy.

Grupa obserwatorów-gapiów przy- staje ciekawą i zastanawia się, jak pój- dzie tym razem. Pobocza i okna pełne ludzkich twarzy. Patrzają i śmieją się, albo dziwią: – *To zaścianek i ciemnota. My się modlimy sami, nie w kościele, bo po-*



fot. P. Zycieński

trzebujemy ciszy i skupienia. Pan Bóg jest wszędzie. Pójdziemy do lasu i tam z Nim porozmawiamy...

Przy Jezusie znaleźli się jednak także ludzie, którzy wytrwali z Nim do ostatnich chwil ziemskiego życia. Stali przy krzyżu do końca, pomimo zmęczenia, bólu, strachu, wstydu... a potem świadczyli o Nim czynami – czasem nawet życiem. Było ich mało, ale świat do dziś dnia o nich pamięta. Dziś również znajdują się ludzie, którzy przyznają się do Chrystusa i za Nim idą, wiedząc, po co idą.

Trud rozumienia

Jak wszechmogący i wielki Bóg może zmieścić się w kruszynie chleba? Wobec Boga wszystko jest przecież pyłem i prochem... Takie pytanie o tę Tajemnicę obecności rodzi się zawsze, gdy człowiek próbuje ją zrozumieć. Próba ograniczenia Boga intelektem nie jest jednak możliwa. Gdyby wszystko udało się człowiekowi zrozumieć, to wiara nie byłaby już potrzebna. Jeśli Bóg byłby osiągalny dla rozumu ludzkiego, Jego wszechmoc przestałaby być nieograniczona... Niezrozumiałe wyniosłości dogmatów Kościoła katolickiego trudne do pojęcia dla zwykłego zjadacza chleba mają jednak ogromne znaczenie właśnie dla tegoż zjadacza chleba. Przepiękna Obecność, troska Boga o bycie prostym i niezbędnym Pokarmem dla człowieka – zarówno tym namacalnym, jak i duchowym... Gdy brakuje zaś wiary w prawdziwą obecność Boga w hostii, możemy się zawsze umocnić świadectwem innych ludzi,

którzy tę wiarę wyznają szczególnie mocno właśnie w procesji... Możemy się przecież modlić również tak: – *Nie wierzę, ale chciałbym bardzo – daj mi poznać, że tam Jesteś...*

Pod presją

Coraz więcej ludzi zadaje dziś pytanie, co robić w *Boże Ciało*. Pod presją znajomych – traktujących ten dzień jako element długiego *weekendu* – mają wiele innych propozycji. Kilkudniowy wyjazd z przyjaciółmi, impreza, *grillowanie*... Niektórzy może by nawet i chcieli pójść w procesji, ale obawiają się relacji innych.

Nikogo nie da się zmusić do kochania. Podobnie też nikogo nie da się zmusić do przyznawania się do wiary. Pojawia się tu pytanie do refleksji, czy ja rzeczywiście wierzę w prawdziwą obecność Boga pod postacią chleba i w każdej kropli wina? Pojawiające się czasem zwątpienie w tę trudną do przyjęcia prawdę wiary nie powinno być jednak tragedią. Apostołowie też zwątpili w Jezusa Chrystusa, choć mieli Go obok siebie żywego, prawdziwego, namacalnego... (Brak przecież wzmianki w *Nowym Testamencie* o tym, że towarzyszyli Jezusowi podczas Drogi Krzyżowej). Później jednak się opamiętali. Miejmy więc nadzieję, że i dziś ludzie doświadczają żywej obecności Boga – Miłości ukrytej w drobnym kawałku chleba oraz odkrywają ważną prawdę, że *tam Bóg jest na pierwszym miejscu, tam wszystko jest na swoim miejscu* (św. Augustyn).

Monika Przybyś

SŁOWNIK OD „Z” DO „A”

Eucharystia

Chrześcjanom, zagubionym w anoniowości masowej parafii, wydaje się to mową-trawą, ale miejscem przemiany ludzkości jest wspólnota eucharystyczna. Z punktu widzenia liturgii eucharystycznej życie chrześcijańskie, w dziedzinie indywidualnej i społecznej, jest nieustannie dokonującą się wspólnotą z Bogiem w Chrystusie – powiada jezuita Alexander Gerken. Wspólnota eucharystyczna Kościoła jest wspólnotą o tyle, o ile jest życiem we wzajemnym oddawaniu siebie innym. Dramatem stuleci chrześcijańskiej eucharystii i samej wiary Kościoła jest to, że zatraciła w znacznej mierze ten ściśle realistyczny i relacyjny charakter, co zauważył pod koniec lat 60. tenże Gerken.

Oczywiście eucharystia jest czymś znacznie większym niż doświadczeniem wiary. Tradycja katolicka nazywa ją sakramentem niewypowiedzianym – *ineffabile sacramentum*. Wyjaśnia to Jan Paweł II w liście do biskupów *O kulcie Eucharystii*. Jan Paweł II podkreśla, że Kościół nie urczył wiary, przez sam fakt zespolenia ludzi, przez przeżycie braterstwa, do którego daje sposobność uczta eucharystyczna. Kościół urczył wiary, gdy w tym braterskim zespoleniu i wspólnocie sprawujemy i celebруем Chrystusową Ofiarę krzyża... Jak Pascha, czyli śmierć i zmartwychwstanie, jest streszczeniem i osią historii, tak eucharystia jest streszczeniem życia. W pełni przeżyta eucharystia jest doświadczeniem Paschy i doświadczeniem wiecznego święta w domu Boga, gdzie Chrystus podejmuje wspólnotę świętych. Oddanie Chrystusa w postaci chleba i wina, wzajemne oddanie braci i siostr wokół stołu Pańskiego jest streszczeniem całego życia, w którym chrześcijanin oddaje siebie innym z radością, w wolności, niczego w zamian nie oczekując. Tak głębokie przeżycie eucharystii jest owocem długiej drogi, a ta droga oczywiście nie jest możliwa, jeśli uczestnicy ceremonii nawet się nie znają.

MM

GŁOS KSIĘDZA MARKIEWICZA (CZ. 1)

Naprawić wszystko w Chrystusie

Jan Paweł II powiedział na krakowskich Błoniach 18 sierpnia 2002 roku: *wiek dwudziesty, mimo niewątpliwych osiągnięć w wielu dziedzinach, naznaczony był w szczególności sposobem misterium nieprawości. Z tym dziedzictwem dobra, ale też i zła, weszliśmy w nowe tysiąclecie. Przed ludzkością jawią się nowe perspektywy rozwoju, a równocześnie nowe, niespotykane dotąd zagrożenia... Tajemnica nieprawości wciąż wpisuje się w rzeczywistość świata...* Doświadczając tej tajemnicy, człowiek przeżywa lęk przed przyszłością, przed pustką, przed cierpieniem, przed unicestwieniem. Może właśnie dlatego przez świadectwo św. Siostry Faustyny Chrystus wchodzi w nasze czasy, aby wyraźnie wskazać na to źródło ukojenia i nadziei, jakie jest w odwiecznym Miłosierdziu Boga. Trzeba, aby Jego orędzie o Miłosiernej Miłości zabrzmiało z nową mocą, bo świat potrzebuje tej Miłości.

Żeby mówić o rzeczywistości cywilizacji miłości, żeby ją tworzyć, trzeba koniecznie uświadomić sobie, co tworzy obecną rzeczywistość i jaki jest jej obraz. W *Christifideles Laici* Jan Paweł II pisze: *Zjawisko sekularyzmu jest dziś naprawdę sprawą poważną. (...) Ja sam niejednokrotnie przypominałem o zjawisku dechrystianizacji, które występuje w narodach o dawnej tradycji chrześcijańskiej i domaga się bezwzględnie Nowej Ewangelizacji (ChL, nr 4)*. W rzeczywistości zsekularyzowanej tzw. *uwalnianie się* dosięga nie tylko spraw Boga, Jego Przykazań i Kościoła, lecz także uznawalnych i szanowanych dotąd rozwiązań, takich jak: rodzina, szkoła, naród, społeczeństwo. Na ich miejsce wchodzi fascynacja gospodarczymi sukcesami postępu, zachłność się wzięcia społeczności dobrobytu, przyjemności, prawie wyłącznie kon-

sumpcji. Z kolei następstwem tej fascynacji jest zatracenie różnicy między człowiekiem a przyrodą, między porządkiem ducha i materii – w ostateczności między twórcą i jego wyrobami.

W społeczeństwie, nazwanym *społeczeństwem pluralistycznym i demokratycznym*, Kościół – będący spadkobiercą zobowiązania budowy *cywilizacji miłości* – utracił tradycyjną pozycję w społeczeństwie. Jest postrzegany jako jeden z segmentów tegoż społeczeństwa. Doświadczanie krajów od dawna pluralistycznych dowodzi, że dominującym elementem modelu tych społeczeństw jest produkcja i konsumpcja. Swoisty *przymus posiadania* utrudnia dostęp do świata transcendentnego. Religijność w społeczeństwach pluralistycznych zamyka się w małych grupach: rodzina, kręgi krewnych i przyjaciele. Dziedzina życia publicznego jest w znacznej mierze wolna od wpływów religijnych. Jednostki mogą zachowywać się religijnie w sferze stosunków osobistych. Mentalność społeczeństw pluralistycznych zamykającą religijność ludzi w kręgu prywatnych znajomości toleruje Kościół i religię tak długo, jak długo ograniczają się one do specyficznych dla siebie sfer działania.

Sekularyzacja, pluralizm oraz subiektywizm tworzą obraz *nowego pogaństwa*, które – dla podmiotów Kościoła (my wszyscy stanowimy Kościół) stanowi adresata, niejako zachwyconego przynębiającą *cywilizacją śmierci*, której może się przeciwstawić tylko *cywilizacja życia* tworzona na fundamencie wiary chrześcijańskiej. *Nowe pogaństwo* stawia większe wymagania aniżeli pogaństwo w pierwszych wiekach Kościoła. Pogaństwo starożytne było religijne, czego nie można powiedzieć o dzisiejszym, spoganiałym świecie. Święty Paweł Apostoł był zaskoczony,

kiedy w Atenach, głosząc Ewangelię, spotkał różne wyobrażenia bożków, a wśród nich ołtarz poświęcony *nieznanej Bogu*. Dlatego nie jest przesadnym powyższe stwierdzenie, które określa dzisiejsze świat jako *rzeczywistość głębiej tkwiącą w mentalności cywilizacji śmierci* aniżeli to było w pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

W świetle nauki *Soboru Watykańskiego II* przez kulturę rozumie się wszystko, czym człowiek doskonalą i rozwija wielorakie uzdolnienia swego ducha i ciała. Wykorzystując rozum i pracę, poddaje świat pod swoją władzę, czyni bardziej ludzkim życie społeczne, przekazuje i zachowuje wielkie doświadczenia duchowe (por. *Gaudium et spes*, nr 53). Kościół jest zaniepokojony faktem odchodzenia współczesnych kultur od wartości ewangelicznych: *Rozdźwięk między Ewangelią a kulturą jest bez wątpienia dramatem naszych czasów (Ewangelii Nuntianci, nr 20)*.

Opierając się na powyższym stwierdzeniu, sięgnę do niezwykłego dzieła. Tym dziedzictwem jest życie i działalność *Śługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza*, który zamieszczając w *Ćwiczeniach duchownych* konferencję: *O Miłosierdziu Bożym* wyraził swoje przekonanie i osobiste świadectwo miłosierdzia wobec dzieci i młodzieży oddanych pod jego pieczę. Analizując jego spuściznę pisarską, ale przede wszystkim jego świadectwo życia duchowego, patriotycznego i społecznego, możemy czerpać z jego pouczeń dotyczących tworzenia upragnionej nowej cywilizacji – *cywilizacji miłości*.

Za czasów ks. Markiewicza na papieża wybrany został patriarchy Wenecji kard. Sarto. Przyjął on za dewizę swojego pontyfikatu słowa św. Pawła: *Instaurare omnia in Christo*. Było to w 1903 roku. W tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka słowa te brzmią: *Naprawić wszystko w Chrystusie* (Ef 1, 10). Dla uzasadnienia wyzwalającego przesłania Ewangelii ks. Markiewicz odwołuje się właśnie do tych słów, czyniąc z nich fundament swojego charakterystycznego budowania.

ks. Jan Seremak CSMA Cdn.

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

Kolejny rok szkolny dobiega końca. Z uwagą obserwuję efekty reformy oświatowej przeprowadzonej w 1999 roku przez rząd Jerzego Buźka. Nie ukrywam, że zgadzałam się z jej założeniami, akceptowałam wprowadzenie gimnazjum, a więc wydłużenie obowiązkowej edukacji do lat dziewięciu, ceniłam prawo rodziców do wyboru szkoły, podwyżki nauczycielskich płac powiązane z podnoszeniem kwalifikacji. Uważałam, że zewnętrzna forma oceny wiedzy uczniów i, tym samym, obiektywna ocena jakości kształcenia w polskich szkołach nie były złym pomysłem. Nawet burzliwe spory towarzyszące likwidacji małych wiejskich szkół przez władze samorządowe przyniosły, moim zdaniem, dobre owoce. Przyjęta, pod presją zdeterminowanych rodziców, korekta legislacyjna pozwalająca na tworzenie małych szkół okazała się inspiracją dla postaw obywatelskich i integracji środowisk wiejskich.

Jak zmieniła się polska szkoła?

Reformę edukacji z 1999 roku nadal uważam za słuszną i racjonalną. Z mniejszym entuzjazmem przyjmowałam jednak dyskusję o nowych, lepszych (?) programach nauczania i założeniach wychowawczych. Wątpliwości budziły hasła o szkole w pełni partnerskiej, przyjaznej, sympatycznej czy, jak czasami mówili reformatorzy, wolnej od stresów towarzyszących przyswajaniu wiedzy. Nie rozumiałam, dlaczego celem edukacji ma być przede wszystkim nabycie umiejętności i rozwój osobowości ucznia, a nie – poznanie i zrozumienie otaczającego świata, zarówno stworzonego przez ludzi, jak i danego ludziom władanie. Nie przekonano mnie do idei szatkowania przedmiotów humanistycznych i tworzenia bloków programowych. Nadal uważam, że matematyka i fizyka, które w czasach mojej młodości wyrabiały umiejętność precyzyjnego, logicznego i zdyscyplinowanego rozumowania, nie powinny zamieniać się w grę skojarzeń, w rozwiązywanie zagadek, w trening umiejętności korzystania z usług bankowych i rozkładów jazdy.

Z wielkim niepokojem obserwowałam zmiany w podręcznikach. Przeglądając dziesiątki różnych, kolorowych

wersji książek do języka polskiego i historii odnosiłam wrażenie, że są równie atrakcyjne, jak mało użyteczne dla zwykłej, normalnej nauki. Jeśli dziecko chce w książce znaleźć informacje o, np.: strefach klimatycznych, lasach tropikalnych, polskich powstaniach narodowych, Katyniu, Kościuszcze, prostopadłościanach, równaniach z jedną niewiadomą lub dwiema niewiadomymi czy, po prostu, o miarach objętości, długości, czy powierzchni – będzie miało poważne kłopoty.

Autorzy podręczników zdają się zakładać, że w poszukiwaniach wiedzy należy korzystać z komputera. Podręczniki powinny przede wszystkim bawić i zachęcać, a zdobyciu wiedzy służy internet.

Kolejnym, nieprzewidzianym efektem reformy oświaty stał się pewien szczególny stosunek nauczycieli do testów. Zewnętrzna ocena postępów ucznia, a więc i pracy szkoły metodą testu sprawiła, że coraz większą rolę pełni tresowanie uczniów w szybkim i umiejętnym rozwiązywaniu testów. Rozumiem przyczynę tego zjawiska. Nie akceptuję jednak aż tak wielkiego podporządkowania procesu kształcenia i oceniania pracy uczniów tak ubogiej formie, jaką jest test.

Jednak największy niepokój budzi to, co stało się w wyniku reformy oświaty z nauczaniem w szkole podstawowej i gimnazjum takich przedmiotów, jak: historia i literatura. Przekazywanie wiedzy historycznej wzbogacono (pozornie), łącząc podobne zagadnienia w bloki programowe. W efekcie uczniowie stracili umiejętność porządkowania zdarzeń w czasie i przestrzeni społecznej. Także związki przyczynowo-skutkowe wyparowały z procesu edukacji a uczniowie zdają się żyć w złudnym przekonaniu, że w otaczającym ich świecie nie płaci się za błędy i nie ponosi konsekwencji za przewiny i zaniedbania. Odnoszę wrażenie, że historia przestała być nauczycielką życia i nie służy już budowaniu tożsamości narodowej, poczucia zakorzenienia czy obywatelskiego zaangażowania w życie własnego narodu.

W szczególnym miesiącu, jakim jest kwiecień, zadałam uczennicy szóstej klasy szkoły podstawowej pytanie: czy na lekcjach języka polskiego lub historii rozmawialiście o rocznicy zbrodni katyńskiej lub powstania w getcie warszawskim? – Nie, ani słowa – odpowiedziało. – A może – zapytałam – we wtorek lub środę 29 i 30 kwietnia, tuż przed długim majowym weekendem, Pani wyjaśniła nam powód, dla którego 3 Maja jest dniem wolnym od nauki? – Okazało się, że ani przed, ani po 3 Maja nie wspomniano o wydarzeniach, które pamiętamy i świętujemy tego dnia. Jedynym świętem, o którym wspomniano w szkole w kwietniu, był (!!!) Dzień Ziemi i towarzysząca mu inicjatywa Towarzystwa Gaja, by chronić zanikające gatunki zwierząt.

Moje refleksje nie są wołaniem o fundamentalną reformę reformy. Nie potępiam jej twórców i nie kwestionuję ich osiągnięć. Proszę jedynie o spokojną refleksję nad, niekoniecznie zamierzonymi, konsekwencjami reformy oświatowej. Tym bardziej, że pojawiają się bardzo interesujące opracowania, które mogą być w tym pomocne. W maju 2002 roku Fundacja Batorego opublikowała *Ocenę podręczników gimnazjalnych języka polskiego. Materiał*

do dyskusji, będącą zbiorem recenzji napisanych przez niezależnych ekspertów. Analizie poddano 6 kompletów gimnazjalnych podręczników języka polskiego wraz z podstawami programowymi i listą lektur. Wybrano podręczniki, które najlepiej sprzedawały się na rynku. Zakładając, że okres gimnazjum jest decydujący dla kształtowania osobowości i systemu wartości ucznia, poproszono recenzentów o odpowiedź na pytanie, jaki wzorzec obywatela, jakie wartości etyczne proponują wybrane komplety podręczników, jakiego absolwenta szkoły, jaki wzór ideaowo-moralny kształtują?

Recenzje zdają się potwierdzać moje niepokoje. Jeden z autorów (D. Gawin) pisze bowiem, że spośród sześciu recenzowanych kompletów tylko jeden zachowuje tradycyjny, chronologiczny kształt narracji. Pozostałe radykalnie zrywają z tradycyjną formułą edukacji i wykład wiedzy zastępują wypisami z literatury lub antologiami tekstów literackich. Tematy tych wypisów wydają mi się dość oryginalne, przykładowo – *Przez stulecia o Kainie* – zawiera fragmenty dzieł literackich poświęconych

motywom zbrodni, zemsty, dobra i zła z wszystkich możliwych epok literackich i okresów historii. Kolejny temat – *Życie wyznacza rolę* – wprowadza ucznia w tajniki etosu rycerskiego, używając do tego celu zarówno *Krzyżaków* H. Sienkiewicza, *Pieśni o Rolandzie*, fragmentów Tolkienu, jak i fragmentów *Zlego* (?) L. Tyrmanda. Kluczowym efektem rozważań nad etosem rycerskim okazują się – zgodnie ze wskazaniami programowymi – stworzone przez uczniów projekty kodeksów (np. doskonałej córki) lub zorganizowane przez nich turnieje pod hasłem: *Za i przeciw turniejom telewizyjnym!* Przyznam, że to dość oryginalny sposób poznawania przez nasze dzieci *Krzyżaków* H. Sienkiewicza i *Zlego* L. Tyrmanda.

Zamiast chronologicznej i systematycznej narracji, odnoszącej się do konkretnych kontekstów historycznych, w których powstawały omawiane dzieła literackie, nasze dzieci otrzymują podręczniki pełne zintegrowanych problemów, a wśród nich np.: *Człowiek – jego radości i smartwienia. Świat jawy czy snu?*, *Kto czyta nie błądzi* lub *Mój dom, nasza Europa*, albo *Co kocham*

i w co wierzę? D. Gawin dostrzega szczególną konsekwencję takiego, jak pisze: *kamuflowania funkcji edukacyjnej*. Sednem reformy okazuje się odrzucenie nauczania *ex cathedra* z pozycji autorytetu. Podręcznik *przyjazny wobec ucznia* nie przekazuje żadnych ważnych treści, a jedynie je sugeruje.

Ponieważ w recenzowanych podręcznikach zanika chronologiczny układ treści, zanika też tradycja. Przeszłość, zdaniem D. Gawina, przestaje być procesem a staje się barwnym, wielorakim zestawem kompozycji ułożonych jak kobierzec, po których uczniowie spacerują, krążą, błądzą, jak po alejkach... Nasze dzieci tracą umiejętność dostrzegania związków przyczynowo-skutkowych, co więcej, tradycja, przeszłość zdają się tracić sens, jako wspólnotowe budowanie, nierzadko z trudem i wysiłkiem, naszej kultury. Cywilizacja przestaje być dorobkiem mądrości, sukcesów i błędów kolejnych pokoleń, a staje się sumą mniej lub bardziej interesujących, czasami przypadkowych, skojarzeń, wydarzeń, historyjek...

Dzięki takim pomysłom w bloku tematycznym *Bunt i marzenie* znajdujemy obok *Ody do młodości* A. Mickiewicza zdjecia murów z przykładami graffiti. Literatura przestaje uczyć, podobnie jak przedtem, pomaga zrozumieć świat: *Czytanie jest świetną rozrywką* – piszą autorzy podręcznika.

Zgoda, czytanie może być świetną rozrywką, ale uczniowie powinni dostrzegać różnicę między *Odą do młodości* a tygodnikiem *Dziewczyna*. Tymczasem, jak pisze w kolejnej recenzji A. Pomorski: *Skoro wszyscy* (autorzy prezentowani w podręcznikach) są równi, nikt się nie wyróżnia, to wychowankowie polskiego gimnazjum opuszczają szkołę w przekonaniu, że nie istnieje coś takiego, jak hierarchia dzieł literackich czy hierarchia autorów. I będą czytać masową, tandetną literaturę w przekonaniu, że postępują zgodnie ze wskazaniami, które przekazała im polska szkoła. Nie wiem, czy dokładnie o to chodziło autorom reformy edukacji z 1999 roku.

Barbara Fedyszak-Radziejowska



foto: P. Żywiecki

Stefan Niesiołowski

Rotmistrz

25 maja minęła 55. rocznica śmierci rotmistrza Witolda Pileckiego (1901 – 1948) żołnierza Armii Krajowej, dobrowolnego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i organizatora konspiracji w tym obozie. Tak pisze o powodach swojego trafienia do Oświęcimia: – *W wyniku odprawy u gen. Grota (Stefan Rowecki – przyp. mój), potrzeby wzniesienia pracy konspiracyjnej w obozach koncentracyjnych i wysunięciu mojej kandydatury przez mjr. Włodarkiewicza, decyduję się na to zadanie, otrzymuję rozkaz i dołączam do drugiej łapanki warszawskiej 19.09.1940. W ten sposób znalazłem się w Oświęcimiu...* Do Oświęcimia przybył w nocy z 21 na 22 września 1940 r.

Według najnowszych danych Niemcy zamordowali tu około 1,5 miliona ludzi, głównie zwozonych z całej Europy Żydów, lecz także wielu Polaków oraz przedstawicieli innych narodów. Żydów mordowano z reguły w komorach gazowych natychmiast po przewiezieniu, tylko nielicznych kierowano do wyniszczającej pracy, co było tylko odroczeniem egzekucji. Pozostałych więźniów kierowano do obozu, gdzie zmuszano ich do niewolniczej pracy, bito, poniżano, torturowano, zastraszano, upodlano przez głód, choroby, niepewność jutra. Tu hitlerowscy lekarze z SS dopuszczali się zbrodniczych pseudomedycznych eksperymentów na ludziach.

Ten obóz był również sprawnie działającym niemieckim przedsiębiorstwem gospodarczym, dostarczającym wielu towarów na rzecz wojennej gospodarki III Rzeszy, a także instytucją posiadającą własne zaplecze ekonomiczne i administracyjne. Rozpoznanie mechanizmów funkcjonowania obozu umożliwiło Witoldowi Pileckiemu przeżyć, a także zorganizowanie obozowej konspiracji i brawurowej ucieczki.

Tak pisał w jednym z raportów: – *Tu konkurowały z sobą w walce o życie mięśnie, spryt i oczy. Trzeba było mieć siłę pchać taczka, trzeba było ją umieć utrzymać na desce, trzeba było wybrać odpowiedni moment na wstrzymanie w pracy, by złapać oddech... Wszyscy, co się do pracy nie nadawali lub nie mieli już sił biegać z taczka, byli bici, a przy upadku zabijani drągami i bitem...* Już po kilku miesiącach pobytu Witold Pilecki zorganizował tajną siatkę pod nazwą **Związek Organizacji Wojskowej (ZOW)**, który utrzymywał

kontakty z zewnętrznymi oddziałami AK. Obozowa konspiracja przekazywała dokładne informacje o tym, co działo się w Oświęcimiu, udzielała pomocy wielu zagrożonym więźniom, likwidowała obozowych konfidentów i tzw. *kapo*, czyli funkcjonariuszy więziennych, często, choć nie zawsze, wysługujących się hitlerowcom i znęcających się nad więźniami. Ale głównym celem i sensem **ZOW** było wspólne z **Armią Krajową**, a być może i desantem alianckich sojuszników, uderzenie na esesmanów, zajęcie obozu, uwolnienie więźniów i ukaranie oprawców. Ten wielki dzień był celem żmudnej pracy bohater-skich konspiratorów z Oświęcimia.

Obok bezmiaru podłości, okrucieństwa i zbrodni był Oświęcim także miejscem bohaterstwa, poświęcenia i miłości, a dzięki takim ludziom jak ojciec Maksymilian Kolbe, Stanisława Lesz-

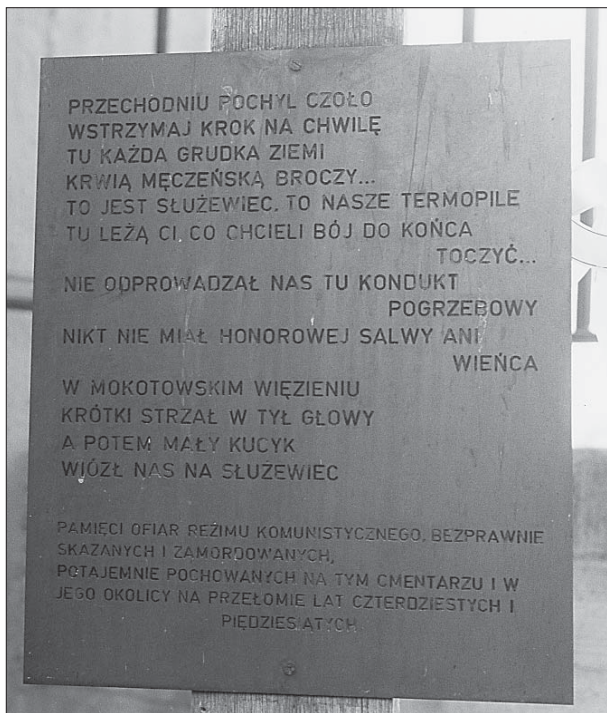


foto: P. Zyczeński

czyńska – położna ratująca życie dzieciom, Witold Pilecki i wielu bezimiennych bohaterów stał się miejscem triumfu dobrem nad złem.

Po wypełnieniu misji, zagrożony dekonspiracją, a także pragnąc jako nacowny świadek przekazać prawdę o tym obozie – Witold Pilecki w nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 roku uciekł z obozu, wspólnie z Janem Redzejem i Edmundem Ciesielskim. Tak pisze na ten temat: – *Wyszedłem w nocy – tak samo, jak przyjechałem – byłem więc w tym piekle dziewięćset czterdzieści siedem dni i tyleż nocy... Wychodząc miałem o kilka zębów mniej niż w momencie mojego tu przyścia oraz złamany mostek. Zapłaciłem więc bardzo tanio za taki okres czasu w tym sanatorium... Ucieczka była możliwa dzięki odwadze, zimnej krwi, inteligencji. Istotna była też pomoc, zwłaszcza tuż po znalezieniu się na wolności, udzielona przez proboszcza położonej w pobliżu obozu parafii.*

Raport na temat dokonującego się w Oświęcimiu ludobójstwa został przedstawiony **Komendzie Głównej Armii Krajowej**, przesłany polskiemu rządowi w Londynie oraz rządowi USA i Wielkiej Brytanii i nie jest winą Polaki, że rządy te nie uczyniły nic dla ratowania mordowanych ludzi, bezczynnie przypatrywały się zagładzie Żydów, mając już od 1943 roku przewagę w powietrzu, która umożliwiła zniszczenie przynajmniej krematoriów, budynków obozowej administracji i przynajmniej części koszar SS. Dokonały tylko jednego słabego nalotu, który nie przeszkodził nazistom w kontynuowaniu ludobójstwa. Ta bezczynność jest jedną z ciemniejszych kart II wojny światowej. Niemożliwy natomiast do wykonania był postulat Witolda Pileckiego, aby siły **Armii Krajowej** uderzyły na niemiecką załogę i uwolniły więźniów. Wobec ogromnej dysproporcji sił, a głównie pytania – co zrobić z dużą liczbą bezbronných i schorowanych ludzi? – pomysł tego rodzaju akcji został przez kierownictwo *podziemia* odrzucony. Miały on wyłącznie moralny, symboliczny wymiar i cel.

Piotr Skórzyński

Polityka katolika

Między nami a Bogiem stają nasze grzechy. Nie są zbyt duże, bo i my nie jesteśmy gigantami zła. Jesteśmy ich świadomi i żałujemy ich – i to chyba Panu Bogu wystarcza.

Ale być politykiem to dążyć do władzy – a władza, choćby najmniejsza, to zawsze (choćby najbardziej nędzny) surogat wszechwładzy boskiej. Niewiele ludzi może powiedzieć o swojej ekwilibrowanej odporności na ten narkotyk. Mam władzę – i oto wszystko, co wymyśliłem, wcielane jest w życie. Zwykle nie tak, jak chciałem – ale to przecież nie moja wina, to wina tych głupców na dole. Ach jak ja muszę się dla nich męczyć! Nie są godni mieć takiego przywódcy. Ale trudno – muszę. Takie jest moje przeznaczenie. Naprawiam świat.

Otóż należy sobie uświadomić, że nie jest to przeznaczenie chrześcijańskie. Zdobywczość nie jest jego cechą – jego cechą winna być pokora. Pokora, która nie ma nic wspólnego z tchórzostwem, a w razie potrzeby zdolna wziąć bicie i wygnąć kupujących w świątyni – ale nie ma nic bardziej odległego od ducha Ewangelii niż pycha zdobywcy.

Chrześcijanin nie mieszka w świecie – on tu tylko przebywa. Jego celem nie jest urządzenie się na ziemi, podąża ku śmierci jak wędrowiec schodzący ze wzgórz: nie cofa się ku niej rakiem jak ateista, pragnący zapomnieć o nicości za plecami. Chrześcijanin to tylko świadek – ale *świadek prawdy*.

Jak te postawę pogodzić z polityką? Może kiedyś się dowiem. Dziś wiem tylko tyle: trzeba szukać prawdy, wyjawiać prawdę i trwać przy prawdzie. To program minimum.

Jeśli choć część polityków-katolików go spełni – pojawi się nadzieja. ■

Pamięć Katynia

W miarę rozwoju społeczeństwa informatycznego wirus amnezji ogarnia coraz większe obszary społecznej świadomości. Dziś już nawet głosiciele oświeconego postępu otwarcie kwestionują przydatność historii w procesie edukacyjnym. Podobno pozytywne tego przykłady można zaobserwować w krajach skandynawskich, a najbardziej niemieckich w Szwecji...

Widać jednak, że im bardziej na południe, tym trudniej przyjmują się takie i tym podobne eksperymenty. Jakis czas temu, obecny prorektor Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Łodzi ks. dr Kazimierz Kurek na łamach *PIP* opisał wyprawę młodzieży z klas maturalnych do Katynia. Okazało się, że istnieje cały program popularyzacji wiedzy o Golgotcie Wschodu, który m.in. obejmuje także wyprawy przyszłych maturzystów do miejsca kaźni polskich żołnierzy w Katyniu. Organizatorzy tej wyprawy sugerowali nawet, by sprawą zajmowało się z urzędu Ministerstwo Edukacji Narodowej. Jednak pod rządami Leszka Millera troska o przyszłość tak bardzo już przesłoniła teraźniejszość, że na przeszłość całkiem zabrakło miejsca.

Dlatego dziś już nikogo nie dziwi, że niezwykle znaczące dla historii Polski pozycje książkowe ukazują się w najrozmaitszych prowincjonalnych oficynach, a nie w przeznaczonych do tego państwowych wydawnictwach naukowych, których nazw już nawet nie warto wymieniać. A właśnie po wydanej przez *Bernardinum* niezwykle znaczącej pozycji ks. Zdzisława A. J. Peszkowskiego i Stanisława Z. M. Zdrojewskiego pt. *Katolicy duchowni w Golgotcie Wschodu* ukazała się kolejna (tych samych autorów) księga z dziejów Golgoty Wschodu pt. *Kozielsk w dolach Katynia. Dzienniki Kozielskie*. W tym miejscu daje o sobie znać nie tylko ury-

kowanie kultury, lecz także, jak widać historii, bowiem i tę pozycję, liczącą bez mała 1300 stron, autorzy wydali własnym sumptem.

Ta wstrząsająca księga, przygotowana przez znany już duet autorski, jest w istocie pośmiertnym i zbiorowym głosem ofiar katyńskiego mordu, które przemówiły znalazzkami z dołów katyńskich. W imieniu 4566 ofiar mordu polskich jeńców wojennych z Kozielska, na kartach tej księgi głos zabiera kilkuset z nich – na kartkach kalendarzyków i notesów, w zapiskach okazjonalnych i kilkuset informacjach, które odnaleziono podczas ekshumacji katyńskich grobów. Oczywiście, jest to zaledwie część znalazzek, które udało się odzyskać z rąk przedstawicieli władz rosyjskich.

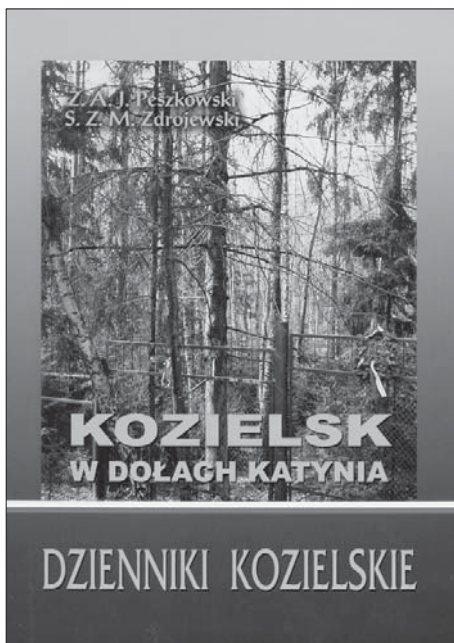
Na kartach *Kozielska w dolach Katynia* ożywa ów czas zawarty między wrześniem 1939 a kwietniem 1940 roku. Dzień po dniu ukazują się obraz kilku ostatnich miesięcy życia wybitnych przedstawicieli polskiej inteligencji. Bo przecież trzeba pamiętać, że bez mała 80 proc. owych jeńców wojennych stanowili oficerowie rezerwy, będący

w cywilu adwokatami i sędziami, lekarzami, nauczycielami, inżynierami, urzędnikami a także osobami duchownymi. Mord dokonany na polskich jeńcach był aktem politycznym i dalekowzrocznym. Wyniszczenie elit oddawało w bliskiej perspektywie polski naród na pastwę obcych cywilizacyjnie sąsiadów.

Dlatego, mimo usilnych tendencji zmierzających do odarcia polskiego społeczeństwa, zwłaszcza dzieci i młodzieży, z pamięci i własnej tożsamości, takie inicjatywy wydawnicze, jak ks. prałata Zdzisława Peszkowskiego – jednego z ocalałych świadków Golgoty Wschodu – należy za wszelką cenę upowszechniać i dobijać się o mecenat dla nich polskiego państwa.

Eugeniusz Zdanowicz

Ks. Z. A. J. Peszkowski, S. Z. M. Zdrojewski, *Kozielsk w dolach Katynia. Dzienniki Kozielskie*, Pelplin, Bernardinum 2003



Grzegorz Pyszczyk

Lekcja autentyczności

Wydźwięk eseistycznej książki *Jerzego Pietrkiewicza*, przetłumaczonej niedawno na polski, jest jednoznaczny – z poezją nie ma żartów...

Zanim jednak przejdę do ukazania niebezpieczeństw uprawiania poezji, kilka słów o autorze tej arcyciekawej książki. Pewnym skandalem jest to, iż przy każdej wzmiance o jednym z najbardziej wybitnych współczesnych polskich poetów, prozaików i intelektualistów, znanym i uznanym poza granicami Polski, Jerzym Pietrkiewiczu trzeba go jednak krajowemu czytelnikowi przedstawiać. Wartość literacka i kulturowa dokonania mieszkającego w Londynie profesora slawistyki jest dokładnie odwrotnie proporcjonalna do skali jego znajomości i uznania w Polsce.

Pietrkiewicz pozostaje na emigracji od 1939 roku. Debiutował przed wojną jako poeta (związany był, m.in. z *Prostem z Mostu*) realizujący program grupy autentystów. Bliski był mu zarówno regionalizm (związany głównie z jego rodzinną ziemią dobrzyńską), jak i literatura twórców pochodzących ze wsi i związanych z wsią. Z tego okresu pochodzi, m.in. poemat *Prowincja*.

W Wielkiej Brytanii broni doktorat z anglistyki i wchodzi w miejscowe życie akademickie (slawistyka). Od 1953 roku pisze prozę po angielsku, i to z pełnym powodzeniem. W Polsce zaczęto ją wydawać dopiero od 1980 roku. Najbliższe tytuły to, m.in. *Sznur z węzłami* (1953), *Gdy odpadają łuski ciasta* (1961).

Pietrkiewicz jest także jednym z tych, którzy wytrwale budowali i budują polsko-brytyjskie stosunki literackie. Pisarz tłumaczył na angielski m.in. poezję Jana Pawała II, także antologię poezji polskiej.

Okazją do przypomnienia osoby i twórczości Pietrkiewicza jest obecnie

niedawno wydany w Polsce, przez *Wydawnictwo Agawa*, zbiór jego esejów zatytułowany *Druga strona milczenia. Poeta u krańców mowy*. Książka jest przekładem, wydanego po raz pierwszy w Anglii w 1970 roku, zbioru esejów Pietrkiewicza.

Poezja a życie – to dwa tematyczne bieguny esejów Pietrkiewicza. Zajmowanie się poezją, w pełnym tego słowa znaczeniu, nie jest bowiem czymś bezkarnym, czymś, co pozostaje bez konsekwencji dla osobowości losu poety. Pietrkiewicz opisuje różne możliwości, warianty biografii poety, który zdecydował się na odkrywanie prawdy poprzez poezję.

W tym miejscu warto podkreślić pewną, jakże rzadko spotykaną, cechę tej książki. Z reguły pisze się u nas osobno, z jednej strony o klasykach światowej literatury, z drugiej zaś strony o tradycjach naszej rodzimej literatury, tak jak gdyby były to dwa rozłączne, nie przystające do siebie światy. Pietrkiewicz zrywa z tą, jakże sztuczną, konwencją z całkiem dobrym rezultatem. W omawianej książce w pełnej symbiozie pozostają obok siebie: Mickiewicz i Goethe, Norwid i Byron. W tę wielogłosową symfonię wplata, co jest w pewnym sensie wzruszające, poetyckich przyjaciół swojej młodości, towarzyszy walk o literacki autentyzm: Jana Bolesława Ozoga oraz Stanisława Piętaka. Okazuje się, że i oni mają coś ciekawego i oryginalnego do powiedzenia.

Między skrajnymi, przeciwstawnymi sobie biegunami, jakie stanowią – samobójstwo i przeżycie mistyczne, mieści się mnogość rozmaitych typów reakcji na sytuację bycia poetą. Szaleństwo, ucieczka, wieczny infantylnizm, profetyzm, odejście od poezji w stronę czynu... to tylko niektóre z możliwych

odpowiedzi jednostki, które wzięła w swe objęcia Pani Poezja.

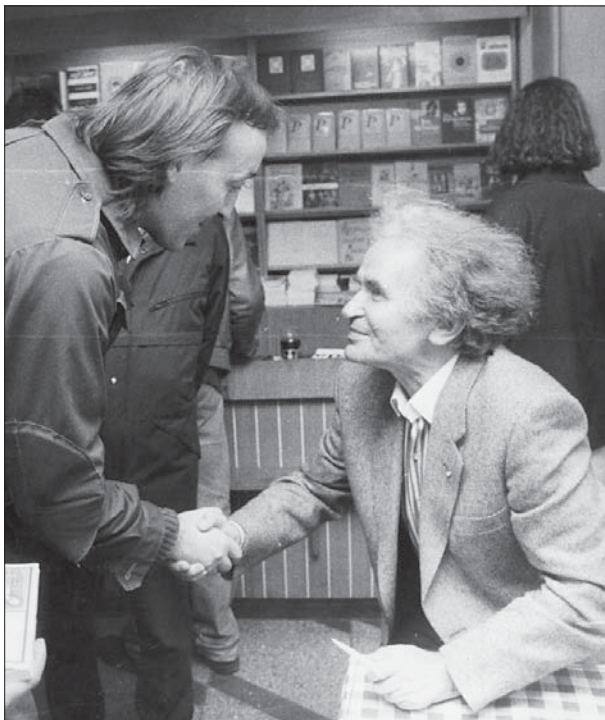
Wszystkie te rozwiązania można by jednak zgrupować według trzech podstawowych scenariuszów. Ich punktem wyjścia jest dotarcie do granic możliwości wyrazu poetyckiego. Tego, co odczuwa w danej chwili poeta, w tym właśnie momencie nie jest już w stanie przekuć w słowo. Jego poetycki *damonion* w pewnym momencie spontanicznie, zdaniem Pietrkiewicza, wygasa. Podobnie, jak spontanicznie zapłonął.

Sledząc rozważania Pietrkiewicza nad tym punktem krytycznym w poetyckiej biografii można zauważyć pierwszą drogę, jaką jest szaleństwo mogące prowadzić do samouniwersztwienia, do samobójstwa (wspomina w tym kontekście, m.in. Jesienina i Majakowski). W grę wchodzi także swoistego rodzaju samobójstwo artystyczne polegające np. na zniszczeniu nie opublikowanych wierszy (przykład Rimbauda).

Istnieje jednak droga mniej spektakularna i zapewne bezpieczniejsza. Jest nią próba ucieczki od traumatycznego doświadczenia literackiej niemocy. Ucieczka, np. w czyn polityczny, społeczny (Byron, Mickiewicz), profetyzm, moralizm. Ucieczka przemysłowa, pamiętająca o poetyckich dokonaniach lub ucieczka spontaniczna na oślep, starająca się tylko umknąć traumatycznemu doświadczeniu niemocy twórczej.

I wreszcie coś, co można by uznać za postawę najbardziej aksjologicznie dojrzałą, konstruktywną. Chodzi o zgodę, przynajmniej czasową, na milczenie, połączoną z medytacją nad istotą chwały i klęski poetyckiego wyrazu. Stąd już tylko krok do modlitwy i – co tu dużo mówić – do mistyki. Pietrkiewicz ten krok robi. Z dużą atencją wypowiada się o poezji św. Jana od Krzyża, w żaden sposób nie unikając religijnych odniesień frazy Wielkiego Karملةty.

W ten sposób eseje z *Drugiej strony milczenia* stają się dalszym ciągiem metafizycznych i religijnych penetracji londyńskiego, a zarazem polskiego



twórcy. Między fascynacjami ludową religijnością a ekstatycznymi szczytami mistyki Pietrkiewicz poszukuje i poszukiwał swojej osobistej, choć w pełni i świadomie uwikłanej w tradycję, drogi do *sacrum*, do Boga.

Jedną z tych dróg okazuje się także poezja. Jeżeli szczerze i autentycznie potraktujemy poetyckiego *daimoniona*, to mimo iż nie zdołamy być może osiągnąć sławy lub geniuszu, na pewno mamy szansę nauczyć się modlitwy i pobożności. Choć, dodajmy, droga ta będzie drogą bolesną.

Wedle Pietrkiewicza nie można uprawiać poezji bez przerwy. Po prostu istnieje czas na poezję, i poza którym nie można jej już uprawiać. Poezja bowiem prowadzi zawsze do milczenia. U końca drogi ku prawdzie artysta napotyka milczenie i albo przy-

najmniej na jakiś czas podda mu się, albo skończy jako grafoman. Tak czy inaczej, bycie poetą nie jest pozbawione tragizmu.

Cierpienie to może jednak mieć dla poezji moc uzdrowicielską i oczyszczającą. Oczyszczającą z banału i skupienia na samej sobie. Każda epoka literacka ma, wedle polskiego poety, przedmiot, przed którym poezja i poeci uciekają. Niejako instynktownie kieruje nimi przecucie, iż o przedmiot ten rozbijać się muszą przez pewien czas słowa literatury nadaremno, że musi stanowić on bolesną barierę dla metafory. Bariera ta jednak, mimo bólu jakim obdarza poetę swoim oporem, jest naprawdę wyzwaniem, które właśnie ta generacja poetów, a zarazem pojedyncze jednostki, muszą pokonać. Milczenie, które napotyka poeta, na-

prowadza go na przedmiot naprawdę godny poetyckiej uwagi, skrywany dotąd skrupulatnie przez świadomość danej epoki.

Z oporu opisywanego przedmiotu rodzi się więc genialna poezja. Z chwil pozostawania w milczeniu powstają nowe literackie style. Z tragizmu milczenia powstaje dar nowej mowy. Dla naszej epoki, wedle Pietrkiewicza, barierą zmuszającą do milczenia jest ogrom kosmicznej przestrzeni. Nie potrafimy po prostu o tym doświadczeniu mówić. Pascalowskie poczucie obcości w gigantycznych przestworzach zastąpiło dawny swojski obraz nieba, na którego kolejnych piętrach mieszkały nadnaturalne, ale w jakiejś mierze podobne nam, istoty, a przede wszystkim sam Stwórca. Rozwój nauki zniweczył to poetyckie poczucie zakorzenienia. Milczenie, tragizm poety jest ofiarą, która kiedyś umożliwi słowo zakorzeniające w ogromie kosmicznych przestrzeni. A słowo to będzie w nowym i prastarym zarazem stosunku do *sacrum* i religii.

Można, na pewno nie bezzasadnie, narzekać na pewną mglistość i niejednoznaczność języka esejów Pietrkiewicza, na zbyt dużą egzaltację atmosfery spowijającej całe przedsięwzięcie. Nie sposób jednak odmówić autorowi powagi, szczerości i znajomości rzeczy, o których opisze. Znajomości nie tylko przecieży teoretycznej, lecz także praktycznej, gdyż mamy przecież przed sobą jednego z największych poetów polskich XX wieku.

Tak czy inaczej, mamy w *Poecie u krańców mowy* późny, przetrawiony przez szereg artystycznych, intelektualnych i egzystencjalnych doświadczeń poety, wykład autentyzmu. Autentyzm to już jednak dojrzały, pozostawiający z dawnego programu to, co najistotniejsze, czyli przekonanie o wadze związku literatury z doświadczeniem twórcy. Wykład ten jest zarazem świadectwem: osobistym i zbiorowym. Świadectwem zarówno poetyckiego słowa, jak i poetyckiego milczenia.

Grzegorz Pyszczyk

Niewiele jest w Polsce firm, które mogą się pochwalić takim stażem – ponad 190 lat! O początkach odlewni dzwonów w Przemysłu tak pisał Kazimierz Jerdziejewski: *W roku 1808, w Kałuszu (pow. stanisławowski) założona została przez Michała Felczyńskiego odlewnia dzwonów, jedyna wówczas w kraju. Przetwarzała ona okres niewoli i weszła do Polski Odrodzonej jako warsztat pełen tradycji ludwisarstwa kresowego, zasobny w duże doświadczenie techniczne.* Firma Felczyńskich kilkanaście razy zdobywała najwyższe nagrody na wystawach i targach krajowych i zagranicznych. Między innymi Wielki Złoty Medal na Wystawie Kościelnej we Lwowie (1909), Grand Prix na Wystawie Międzynarodowej w Paryżu (1927), Wielki Złoty Medal na Targach Poznańskich (1929). Po wojnie zaś Złote Medale przyznano Felczyńskim za dzwony prezentowane na Wystawie Rzemiosła Artystycznego w Poznaniu (1975), na Wystawie w Sofii (1979) oraz na Wystawie *Polska 80* w Dusseldorfie. Dzwony Felczyńskich z ludwisarni przemyskiej znane są dosłownie na wszystkich kontynentach świata. Także i dzisiaj odlewnia, prowadzona od 1984 roku przez mgr. inżyniera Janusza Felczyńskiego, wykonuje dzwony kościelne, okrętowe i okolicznościowe o wadze od 25 do 5000 kgilogramów. Gwarantuje najwyższą jakość, krótkie (stosunkowo) terminy i konkurencyjne ceny. Specjalny dzwon otrzymał w darze Papież Jan Paweł II podczas pobytu na ziemi przemyskiej.

Poprosiliśmy Mistrza Janusza o rozmowę na temat pracy tego niezwykłego zakładu, jakim jest ludwisarnia, oraz na temat jej wyrobów, czyli dzwonów.

Mowa spizu

O tajemnej wiedzy odlewni dzwonów krąży wiele legend. Ile jest w nich prawdy?

Legendy były w przeszłości przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie. Utrwalano je w literaturze, a później w filmie. Zapewne brały się stąd, że oto z kawałków różnego kruszcu, które gdzieś leżały porozrzucane, w ludwisarni robi się *coś* i z tego *wychodzi* piękny i dźwięczny dzwon. Mniemano, że do roztopionego metalu dodawało się trochę srebra, trochę złota, najczęściej w postaci słubnych obrączek czy drogocennych pierścionków. Niekiedy sądzono, że oprócz biżuterii i innych precjozów dodawano nawet... młodej ludzkiej krwi! Ale to tylko legendy. Ja natomiast mam jak najbardziej racjonalny stosunek do technologii powstawania dzwonu. Dla mnie, nie tylko jako absolwenta *Politechniki Krakowskiej*, lecz także jako praktyka, liczy się jakość stopu, czyli proporcje metali wchodzących w jego skład. Ważna jest ponadto szerokość i wysokość dzwonu oraz jego grubość. A więc matematyka i metalurgia, fizyka i trochę chemii. Ponadto potrzebna jest znajomość, np. ornamentyki, płaskorzeźby i liternictwa, a także harmonii dźwięków. Już nie wspomnę o podstawach ślusarstwa czy o instalowaniu elektrycznych – a raczej elektronicznych – napędów dzwonów. Oczywiście, trudno dziś być *omnibusem*. Dla-

tego w naszym zespole mamy specjalistów z różnych dziedzin sztuki i rzemiosła artystycznego.

Chyba ważną częścią każdego dzwonu jest jego serce?

Tak ludzie mówią. Ja zaś mogę wszystkim powiedzieć, że dzwon nie ma serca! Dwadzieścia parę lat przy dzwonach pracuję i z całą pewnością stwierdzam, że to wahadło to kawał nieczułego metalu, a nie żadne serce! Wprawdzie faktem jest, że jak dzwoni, to niektórych ludzi ten dźwięk chwytają za serce. Ale to całkiem inna sprawa. Po prostu są tacy ludzie, w których głos dzwonu *coś otwiera*. Moim zdaniem jest to najlepsza wiadomość pod słońcem, bo oznacza, że ci ludzie naprawdę mają serca! Ale każdy dzwon posiada zwykły bijak, kawał żelaza, który wali, uderza w niego. Trzeba przy tym wiedzieć, że te dwa współpracujące ze sobą metale muszą mieć zdecydowanie różną twardość. My robimy dzwony z brązu. Jest to metal, a raczej stop, bardzo twardy i bardzo kruchy zarazem. Gdyby dzwon zrzucić z wysokości trzech metrów – to się rozprysnie jak szkło! A przez ponad dwieście lat jest bity *sercem* – i nic mu nie będzie. Tak więc do twardego dzwonu dorabiamy *serce* z żelaza najbardziej miękkiego. Kiedyś robiło się też dzwony żeliwne, a więc stałowe. Przy czym była to trochę gorsza

stal, choć lepsza od żeliwa. Wówczas trzeba było wykonać *serce* z brązu. Niedawno naprawialiśmy dzwony żeliwne dla Olszyna i dorabialiśmy do nich *serca* z wkładkami brązowymi.

A czy mógłby Pan opisać kolejne etapy powstania dzwonu?

Forma na dzwon składa się z trzech części. Pierwszą z nich jest tzw. *rdzeń*. Będzie on stanowił otwartą przestrzeń w środku dzwonu, czyli po prostu *dziurę*. Stały rdzeń oblepia się gliną i tworzy się z niego *falszawy dzwon*. Na niego nalepia się płaskorzeźby, przedstawiające z reguły patronów poszczególnych dzwonów, oraz odpowiednie napisy. Całą ornamentykę *pędzluje się*, czyli nakłada na nią cienką warstwę specjalnej glinki. Następnie lepi się trzecią część formy, zwaną kapą lub płaszczem – z gliny zbrojonej drutem. Na szczyście dzwonu umieszcza się formę *korony*, popularnie zwanej *uszami*. To wszystko schnie w temperaturze 200-250 stopni w specjalnej suszarni. Po wyschnięciu zewnętrzna część formy, czyli kapę ściąga się z całości. Wewnątrz niej odbita jest – w negatywie – cała ornamentyka i litery. *Falszawy dzwon* rozbija się i wyrzuca. Jeśli zaś złoży się pozostałe dwie części formy dzwonu, czyli rdzeń i kapę, to pomiędzy nimi powstaje szczelina, wolna przestrzeń (po usunięciu *falszawego dzwonu*), którą należy teraz wypełnić ⇨

roztopionym metalem. A więc wszystko jest już jasne i proste, prawda?

Pozostaje jednak sprawa chyba najważniejsza – odlanie dzwonu. Jak to się robi?

Mamy duży piec, tzw. *plomienny*, płaskodenny. Możemy w nim stopić do 6 tys. kg metalu. Robimy próbki stopu, dodajemy rozmaitych składników, zależnie od potrzeby. Formy są różnej wielkości, takiej jak przyszłe dzwony. Jest ich od kilku do kilkunastu. W wielkim dole obok pieca są poustawiane na różnych poziomach. Większe – głębiej, mniejsze – płycej. Tak, aby korony wszystkich dzwonów były na jednym poziomie. Kiedy metal jest już roztopiony, wypuszczamy go z pieca i specjalną rynną wprowadzamy kolejno do każdej formy. Po dwudniowym stygnięciu dzwony są już gotowe. Trzeba się jeszcze z nimi *pobawić* przez parę dni, aby wykończyć pracę. A więc ręcznie wyczyścić litery i dekoracje, a następnie na tzw. *karuzelówce* wyszlifować i wypolerować gładkie powierzchnie. Należy też dorobić *serce* i uzbroić dzwon w okucia do zawieszenia na dzwonnicy. I właściwie to wszystko.

W relacji Mistrza cały ten skomplikowany i niebezpieczny proces

rodzenia się dzwonu wydaje się prosty i spokojny. A przecież wystają przy tym różne napięcia?

Wszyscy zdajemy sobie z nich sprawę. Wszyscy je mocno przeżywamy. Ale to jest nasz zawód, w który wkalikulowane jest także ryzyko – chociażby poparzenia się. Ten spust roztopionego metalu do forem jest sprawdzianem miesięcznej pracy całego zespołu. Tu każde zawahanie się czy niepotrzebny ruch może spowodować katastrofę! Wszyscy sobie doskonale to uświadamiamy. Bo już niejedno widzieliśmy. Przybysze zaś, którzy chcą oglądać *narodziny* dzwonu, nie mają o tym zielonego pojęcia. Tu, w odpowiednich momentach, jest zupełna cisza, której ludzie z zewnątrz nie rozumieją. A pracownicy z napięciem słuchają, jak ten metal *nachodzi*. Bo wszystko może się zdarzyć, kiedy wpuszcza się ponad pięć ton płynnego metalu do formy. W tej masie są zgromadzone potworne ilości energii. Niechby się tam pojawiło parę kropel wilgoci, to razem z tym metalem wszyscy wylatujemy w powietrze! A więc tu nie ma żartów. Jest skupienie i odpowiedzialność za każdy gest.

Wczytałem gdzieś w prasie, że miał Pan niezwykłą przygodę

z dzwonem o imieniu *Książdz Jerzy...*?

Była to przede wszystkim *przygoda z Urzędem Bezpieczeństwa*. Ci panowie codziennie tu byli. Patrzyli, jakie napisy dajemy, *doglądali* go. Kiedy już dzwon był gotowy i załadowaliśmy go na ciężarówkę, aby zawieźć go do Warszawy, gdzie miał być poświęcony przez Papieża, przebywającego właśnie w Polsce (czerwiec 1987), zjawiły się tu dwa radiowozy milicyjne. *Smutni panowie* pokazali mi nakaz *aresztowania* dzwonu! Co myśmy wtedy przeżywali... Chodziliśmy wszyscy jak wściekli, a przy tym bezradni. *Kombinowaliśmy* już różne wyjścia. I przypomniałem sobie, że przecież ja bardzo dobrze znam ludzi z telewizji amerykańskiej. Niech oni przyjadą tu, niech zrobią zdjęcia, niech się świat dowie, jak to władza PRL *aresztuje dzwon!* Pojechałem z tym pomysłem do *UB*. Wtargnąłem do samego *szeffa*, choć sekretarka mówiła, że jest narada i nie można tam wchodzić. Przedstawiłem mu swój plan działania pod okiem telewizji USA. Pan pułkownik zaczął się *jąkać*, wyciągnął jakieś telegramy od swoich szefów. Ale ja już byłem tak zdeterminowany, że to nie robiło na mnie większego wrażenia. Trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. W napięciu czekałem, co będzie dalej. Po paru godzinach znowu panowie zjawili się u mnie. Tym razem z niezwykłą propozycją: – *Owszem, dzwon może jechać do Warszawy, ale... w konwoju!* – Coś takiego wymyślił... Pytam ich: – *Dlaczego w konwoju?* – *Bo mi się boimy demonstracji po drodze...* Jak mogłoby dojść do demonstracji, skoro o transporcie dzwonu nikt, oprócz nas, nie wiedział?! W każdym razie dzwon *Książdz Jerzego Popiełuszki* jechał do Warszawy *z paradą*. Tam pobłogosławił go Ojciec Święty, z którym miałem okazję zamienić parę zdań. I tak się zakończyła ta niezwykła przygoda. Od tamtej chwili minie w czerwcu 15 lat.

Dziękując Panu Inżynierowi za rozmowę i życząc, aby wykonane przez firmę Mistrza Janusza dzwony nadal rozstawały dobre imię Rodu Felczyńskich.

Rozmawiał Jan Korcz



foto: W. Świerński

PRZEZ ŻYCIE Z ANIOŁEM

Pośród wielu Kalwarii polskich jedna jest najśłynniejsza i gwoli ścisłości najstarsza – to Kalwaria Zebrzydowska. Założona została przez Mikołaja Zebrzydowskiego czterysta lat temu, malowniczo położona wśród porośniętych gęstym lasem gór. Do tutejszego sanktuarium maryjnego i klasztoru bernardynów rokrocznie ściągają nieprzebrane rzesze pielgrzymów. Podczas wielkich świąt wszystkie drogi wiodące do klasztoru upstrzone są rzędem kolorowych namiotów i jarmarcznych bud z tandetnymi dewocjonaliami oraz okropnie słodkimi, zapewne niezdrowymi słodyczkami. Prawdopodobnie z takiego odpustu pochodzi tytułowy gipsowy anioł Staszka Chyczyńskiego – mała biała figurka, która odegrała i odgrywa ważną rolę w jego życiu. Pewnym co do pochodzenia aniołka być nie można, gdyż nie pamięta tego nasz bohater, jego poczciwi rodzice, ani ktokolwiek z bliskich. Jedno nie ulega wątpliwości: niepostrzeżenie – jak to anioł – zasiadł on któregoś dnia na półce wśród wielce uczonych ksiąg małego Stasia, którymi były *Elementarz Falskiego*, *Abecadło z pieca spadło* i inne bestsellery z zamierzonej serii *Poczytaj mi mamo*.

Gipsowy Kalwaryjczyk

Herbert Oleschko

– *Wiesz co? Wcale mi się aniołku nie podobasz* – wyznał pewnego dnia chłopczyk i obwieścił figurce zamiar wymienia jej na ołowianego rycerza, takiego w średniowiecznej zbroi i z ciężkim toporem w dłoniach. Nazajutrz, ostrożnie niż zwykle, spakował tornister. Na samym dnie położył owiniętego w ręcznik anioła. Bez trudu dokonał korzystnej dla siebie wymiany i z dumą przyniósł do domu cenne trofeum do kolekcji ołowianych żołnierzyków.

Kilka tygodni po tym zdarzeniu w szkole urządzono zabawę z loterią fantową. Jakież było zaskoczenie chłopca, kiedy wygrał anioła, w dodatku tego samego, którego łatwo poznał po charakterystycznym odprysku na prawej stopie.

– *Ty nie jesteś wcale taki brzydki, jak myślałem. Może nawet jesteś jakimś ważniakiem, skoro wróciłeś do mnie* – zastanawiał się głośno chłopiec, ale nie potrafił dojść do żadnego konstruktywnego wniosku. Gipsowy aniołek uparcie milczał.

– *Chyba się nie obraziłeś* – ruszyło Stasia sumienie. – *W nagrodę staniesz na mojej najlepszej półce. Obiecuję też uroczystie więcej nikomu ciebie nie oddawać.*

Trzeciwyście słowa dotrzymał. Miały miesiące i lata, a gipsowy anioł tkwił na honorowym miejscu, zmieniały się tylko półki i mieszkania. Raz łądował na telewizorze, miesiąc później w łazience, to znów za szybką w kuchennym kredensie.

W końcu wyniósł się z Kalwarii na dobre i wraz z właścicielem przeprowadził się do Ciemnogrodu, gdzie mieszka z rodziną Staszka do dziś. Chciałbym cofnąć się jednak do przeszłości i przytoczyć interesujące zdarzenie z czasów uniwersyteckich studiów Kalwaryjczyka, a wiążące się z gipsowym aniołem.

Staszek studiował na trzecim roku filozofii. Wracając pewnego popołudnia z zajęć, spotkał na ulicy Beatę, miłośniczkę z czasów licealnych. Niestety, nie on jeden kochał się w długonogiej piękności i nie miał żadnych szans wobec lepiej obdarzonych przez naturę konkurentów. Im więcej względów okazywał Beatce, im więcej znosił jej prezentów i czynił zabiegów, tym bardziej był lekceważony. Tak jawne i bezceremonialne potraktowanie szczyrych intencji bardzo wówczas bolało i kosztowało młodzieńca sporo nieprzespanych nocy.

– *Cześć Staszek!* – zdziwiła się dziewczyna. – *A to dopiero spotkanie.*

– *Witaj, pięknie wyglądasz* – wymamrotał zaskoczony i zbierał w pośpiechu myśli, zastanawiając się, co powiedzieć dalej. Z opresji wybawiła go na szczęście Beata.

– *Cale wieki minęły, a ty się w ogóle nie zmieniłeś. Słyszałam, że zacząłeś studiować filozofię, to musi być bardzo interesujące. U mnie w życiu też się sporo wydarzyło. Przemyslałam wiele spraw.* – *To może spotkamy się w jakimś spokojnym miejscu i porozmawiamy dłużej?* – Uczępił się na nowo rozbudzonej nadziei.

– *Myślę, że to dobry pomysł* – uśmiechnęła się kokieteryjnie. – *Co będziemy gadać na ulicy.*

Umówili się na następny dzień w kawiarni i Staszek nie mógł przez pół nocy zasnąć. Wróciły wspomnienia, liceanne obrazy wylewały się jeden za drugim, świeże i soczyste, pachnące utraconym pięknem, a przez to jeszcze droższe i cieplejsze. Bił się z myślami, patrząc raz za razem na gipsowego aniołka, ściśniętego między *Państwem* Platona i *Enneadami* Plotyna z jednej strony a błękitnym pięcioksięgiem *Dzieł zbranych* Edwarda Stachury.

– *Ciekawe, czy znów przyniesiesz mi pecha w sprawach sercowych?* – pytał niemiło. – *Może tym razem coś z tego będzie?*

Nazajutrz pojawił się w kawiarni pół godziny wcześniej przed umówionym spotkaniem. Zamówił kawę i z bijącym sercem czekał na Beatę. Podświadomie obawiał się, że nie przyjdzie, w dawnych czasach przyzwyczała go do podobnego traktowania. Przyszła umalowana i wysztyfowana jak nigdy. Rozmowa nie kleiła się, nie chcąc przejść do sedna uczeplił się kilku neutralnych i bezpiecznych tematów. Gdzieś po godzinie takiej męczarni dziewczyna postanowiła przejść do natarcia.

– *Wiesz, mam problem.* – *Spodziewam się, któż ich nie ma* – odparł Staszek, mając nadzieję że tym problemem jest samotność dziewczyny. Beata sięgnęła tymczasem do torebki i wyjęła czarno-białe zdjęcie jakiegoś faceta. Wręczyła je osłupiałemu Kalwa-

ryjczykowi i z typowym dla siebie taktem zadała pytanie:

– Poradz mi, czy mam za niego wyjść. W styczniu zaplanowaliśmy ślub.

Spodziewał się wszystkiego, ale nie czegoś podobnego. Miał 21 lat i nie doświadczył jeszcze przewrotności kobiecej natury. Na jawną prowokację zareagował zatem bardzo prostolinijnie.

– To proste. Jeżeli go kochasz, odpowiedź pozytywna, jeżeli nie kochasz – negatywna – odciął ze złością. – Myślę, że nie ma sensu dalek rozwijać tematu. – Właśnie nie wiem, czy go kocham – wyznała Beata.

– A to bardzo ciekawa sytuacja – zdenerwował się na dobre Staszek. – Brawo! Nie znam w ogóle gościa, może coś do ciebie ciągle czuję. To ciekawe, dlaczego zwracasz się do mnie z taką sprawą?

– Przecież jesteś taki mądry i w dodatku studiujesz filozofię.

– Nie trzeba filozofa, by odpowiedzieć na takie pytanie. Jak nie jesteś pewna uczuć, to spójrz na kasę. Przecież z pewnością wiesz, jaki gość ma zawód, samochód, mieszkanie. To w zasadzie pryncypia a nie imponderabilia. Brak pieniędzy rozkłada największą miłość. – Mógłbyś nie być taki cyniczny – wy-

buchła płaczem i nie więcej nie potrafiła z siebie wykrztusić. W gwarminym lokalu zrobiło się nagle cicho jak makiem zasiał. Kalwaryjczyk poczuł się bardzo głupio, ale to nie z ich powodu zamilkło towarzystwo. Jazgotliwa muzyka płynąca z radia została ucięta jak nożem, a redaktor grobowym głosem odczytał lakoniczny komunikat o zamachu na papieża Jana Pawła II. Pociemniało, kłęby dymu papierosowego zastygły na chwilę w powietrzu. Pojedynczo i grupami ludzie zaczęli opuszczać kawiarnię. Beata zwróciła się z prośbą o odprowadzenie na przystanek. Tramwaj długo nie przyjeżdżał i Staszek wahał się – wsiąść i jechać z dziewczyną do jej mieszkania, czy pożegnać się, tym razem na zawsze. Pośpieśmi milczeli, wokół przetaczał się anonimowy tłum.

– Stachu, nie wsiadaj do tego wagonu – usłyszał za sobą nagły jakiś bełkotliwy głos i stanął jak wryty. Odwrócił się. Na ławce siedziało trzech obszarpanych pijacków z tanimi piwami w dłoniach. Twarz jednego z nich odznaczała się

niezwykłą bladocią i te rysy, skądś znała. Ależ tak, ludzkie podobieństwo do gipsowego anioła. Kiedy odwrócił się ponownie, drzwi zatrasnęły się znieczeka i tramwaj ruszył.

Zszokowany stał przez chwilę w miejscu, nie za bardzo wiedział, co zrobić. – Gościu! Rzuć coś na jabolę, albo spadaj – głos jednego z pijacków przywrócił Kalwaryjczyka do realiów. Nie odpowiadając na zaczepkę, ciężkim krokiem ruszył przed siebie.

W takich okolicznościach, dla jednych trywialnych, dla innych być może przypadkowych, dla jeszcze innych wręcz fatalistycznych, Staszek pożegnał się na zawsze z młodzieńczą miłością. Datę 13 V 1981 zapamiętał doskonale. W amerykańskich bestsellerach o aniołach ostrzeżenie duchowego opiekuna poprzedza zwykle jakąś katastrofę bądź wypadek, którego uniknie podopieczny. Nie, tramwaj nie uległ wypadkowi. Wiadomo jedynie, że życie Kalwaryjczyka ułożyło się inaczej. Lepiej czy gorzej? Niestety, na to pytanie potrafiły odpowiedzieć tylko gipsowy anioł. A on uparcie milczy.

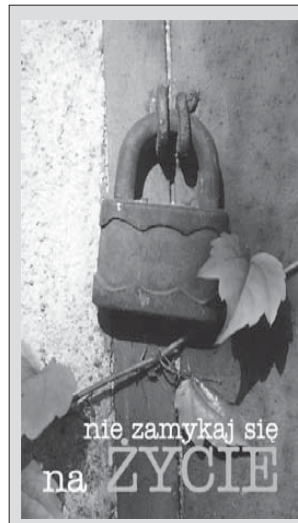
Herbert Oleschko

MICHALICI

Bóg wciąż poszukuje młodych ludzi o odważnych sercach i zaprasza do pracy w dziele ewangelizacji świata. Dla mihalitów wyraża się to w szczególnej trosce o dzieci i młodzież poprzez prowadzenie ośrodków wychowawczych, szkół katolickich i oratoriów. Głoszą Dobrą Nowinę w czasie rekolekcji i misji, a także przez słowo pisane – posiadają własne **Wydawnictwo i Drukarnię Michalineum**. Szerzą kult Św. Michała Archanioła i Aniołów. Pracują w Polsce i za granicą.

Jesteś młody! Szukasz swojej drogi życia? Czy chcesz dołączyć do nas, żeby służyć Kościołowi – bardzo zatroskanemu o dzieci i młodzież – biedną i opuszczoną i żyć według dewizy *powściągliwości i pracy*? Chcesz wiedzieć więcej – napisz, zadzwoni lub przyjeźdź na organizowane przez nas rekolekcje i dni skupienia. Najbliższe terminy: **7 – 8 czerwca** (Miejsce Piastowe) – **Fatimskie Czuwanie Młodzieży w intencji powołań**; **27 czerwca – 2 lipca** (Pewel Śmiełwieńska) – **Włóczęga po Beskidach**; **21 – 31 lipca** – **Michalicki Rajd Rowerowy po Mazurach**; **25 – 27 października** (Miejsce Piastowe) – **Jesienne Dni Skupienia**; **14 – 16 listopada** (Kraków) – **Jesienne Dni Skupienia**; **28 – 30 listopada** (Górki k. Garwolina) – **Dni Skupienia przed Adwentem**

MICHALICKIE DUSZPASTERSTWO POWOŁANIOWE
ul. Ks. Bronisława Markiewicza 25a; 38-430 Miejsce Piastowe
tel. (13) 433 92 62 lub 0 604 838 749
e-mail: krzychu@michalici.otd.pl



nie zamykaj się
na ŻYCIE

PLASTYKA

Malarz Mazowsza

Bolesne odejście z grona naszych redakcyjnych współpracowników Jerzego Piechowskiego (1936 r. – 2003 r.), cenionego pisarza, świetnego felietonisty, autora interesujących esejów poświęconych sztukom pięknym oraz zamieszczone w *PIP* o nim wspomnienie po raz kolejny skłoniły mnie do przejrzenia napisanych przez niego książek. W literackim szkicu zatytułowanym *Dzień w ogrodzie czasu* Jerzy Piechowski przedstawia m.in. jednego ze swoich przodków, Wojciecha Piechowskiego, malarza dziś już, jak pisze autor, bardzo zapomnianego.

Rzeczywiście, o Wojciechu Piechowskim (1848 r. – 1911 r.), malarzu scen religijnych, rodzajowych i portretów pamiętają jedynie historycy sztuki, i to też chyba nie wszyscy. Nauki artystyczne rozpoczął w warszawskiej *Klasie Ryśunkowej* u Wojciecha Gersona. Później studiował w Akademii Monachijskiej i praktykował w pracowni Józefa Brandta. Przyjaźnił się ze swoimi rówieśnikami Józefem Chelmońskim i Alfredem Wieruszem Kowalskim (obraz tych malarzy na polskich aukcjach osiągają obecnie astronomiczne ceny). Obaj artyści, w przeciwieństwie do późniejszych krytyków, wysoko cenili malarstwo Piechowskiego, który swoje obrazy pokazywał w warszawskim *Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych* oraz na wystawach w Paryżu i Stanach Zjednoczonych, gdzie nagrodzono je paroma medalami. Jak wspomina w książce *Malarstwo polskie XIX i XX wieku* Eligiusz Niewiadomski (1869-1923) malarz, krytyk sztuki i... zaborca prezydenta Gabriela Narutowicza *syn obywatela z mławskiego, Piechowski spędził młodość i zresztą całe prawie życie na wsi, w otoczeniu licznej rodziny*



i sąsiadów, typów bajecznych, doskonałe zakonserwowanych w zapadłym kącie Mazowsza. Jawi się więc przed nami artysta – właściciel dworu i ziemskiej posiadłości, utrwalający na swoich płótnach prowincjonalne życie ziemiańskie, nie pozbawione krytycyzmu, odzwierciedlającego nurt w sztuce schyłku wieku XIX zwany *realizmem krytycznym*. W późniejszym okresie swojej twórczości Wojciech Piechowski zaczął, jak się zdaje, ulegać wpływowi secesji, o czym mogą świadczyć dekoracyjno-linearne walory jego niektórych obrazów religijnych. Należy do nich, m.in. *Chrystus wśród siepaczy*, niezwykle ekspresyjne dzieło, spopularyzowane przez znaną akwafortę Józefa Pankiewicza. Obecnie nieliczna spuścizna artystyczna Wojciecha Piechowskiego możemy oglądać w *Muzeum Ziemi Zawkrzeńskiej* w Mławie, parę obrazów znajduje się też w magazynach warszawskiego Muzeum Narodowego.

Jarosław Kossakowski

Jerzy Trammer

Ujawnienie

Dziwny paradoks albo sprzeczność ujawnia się w dziejach człowieka. Przez wieki wierzy on w coś: w coś złego albo w coś dobrego, ale i dobre przerabia nieraz przez swój fanatyzm w złe. Wiara nadaje jego życiu porządek, pewność, smak i sens, ale też każe mu w jej imię toczyć domowe i niedomowe wojny – gorące czy też zimne, udręczające, męczące, walczyć. Co jakiś czas dorobek wieków obraca przy okazji w zgłiszca.

Wreszcie ostatnio i nie wszędzie, lecz w całkiem wielu krajach, zaczyna bać się wiary. Sądzi, że nie są one dobre, albowiem *łatwo rodzą fanatyzm*, a ten z kolei zbrodnię. Wyznaje relatywizm, głosi, że wszystkie wiary czy też sposoby życia są równie dobre. Nie warto przeto o nie walczyć, trzeba każdemu pozwolić żyć, jak chce. Trzeba zachować życie, zwiększać dobrobyt i pielęgnować zdrowie.

Jednak w klimacie relatywizmu, gdzie wszystkie prawdy są równie dobre, dobra już nie jest żadna. Pielęgnowane ciało relatywisty odczuwa w środku czczość, pustkę, brak oparcia. Coś podobnego czułoby prawdopodobnie zwierzę, któremu wzięto instynkt wyznaczający i rami, i rytm życia.

Czyżby fanatyzm albo przynajmniej silna wiara były czymś nieodzownym dla pełni człowieczeństwa? A może człowiek jest po prostu bytem tragicznym? Albo odczuwa pełnię, lecz wówczas rani albo nie rani, lecz czuje pustkę.

Tego rodzaju paradoksy mnoży w swej książce *Esaj o człowieku późnej nowoczesności* Chantal Delsol (*Znak*, Kraków 2003). Z Francji, więc z kraju, który od lat dwustu uprawia postęp i oświecenie, z ogromną żarliwością, może z rozpaczą, rzuca pytania o ich rezultat i o ich sens. Taką osobą, osamotnioną spośród francuskich postępowców mających słabość do bolszewizmu, był kiedyś Raymond Aron, był także Albert Camus. Taką osobą jest też Delsol. ■

IN FLAGRANTI

Na fundamentach PRL-u

Znów politycy uraczyli nas ustawą, która hamuje rozwój wolnego rynku, a za to umacnia gospodarkę centralnie zarządzaną, socjalistyczną. W socjalizmie bowiem państwo włada środkami produkcji; obywatele zaś nie mają do nich swobodnego dostępu. Ustawa o kształtowaniu ustroju rolnego, uchwalona na początku kwietnia, ogranicza bowiem, czy wręcz unicestwia, wolny handel ziemią rolną. Może ją kupić, oprócz rolników, tylko ten, kto ma wykształcenie rolnicze, i to jedynie do 300 hektarów; a tutaj istotne, czy trzysta hektarów to mało czy dużo, ważne, że więcej kupić nie można. Chyba że...

W perspektywie ekonomii bez znaczenia jest uzasadnienie tej ustawy, że uchwalona została w obronie polskich arealów rolnych przed zakusami cudzoziemców, którzy po naszym wstąpieniu do Unii zamierzają podobno z całą premedytacją wykupywać naszą ziemię ojczyzną. A jak napisała *Rzeczpospolita*: *celem ustawy o kształtowaniu ustroju rolnego jest poprawa struktury obszarowej gospodarstw rolnych, przeciwdziałanie nadmiernej koncentracji nieruchomości rolnych oraz zapewnienie, że działalność rolniczą w gospodarstwach będą prowadzić osoby o odpowiednich kwalifikacjach...*

Wsluchajmy się dobrze w treści tego wyjaśnienia: *przeciwdziałanie nadmiernej koncentracji*. Wszedł z grobu PRL stalinowski upiór niszczenia obszarników i kułaków. A czy u podstaw sformułowania: *działalność rolniczą w gospodarstwach będą prowadzić osoby o odpowiednich kwalifikacjach*, nie legły przyzwyczajenia partii marksistowsko-leninowskich, iż w gospodarce i polityce działać mogą jedynie ci, których przydatność dobrze oceniają władze partyjne?

Jakkolwiekbyśmy zresztą interpretowali tę ustawę – fakt jest faktem, że (potwórzmy dobitnie!) przestrzega ona zasad gospodarki socjalistycznej, nie wolnorynkowej. Na przykład w socjalistycznej PRL bez zezwolenia partyjno-państwowej Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej były *Prasa-Książka-Ruch* nikt nie mógł kupić papieru drukarskiego tym bardziej maszyny drukarskiej, nawet trudności z zaopatrzeniem się w papier do pisania na maszynie (kradło się go

z państwowych instytucji). A nadto od 5 lipca 1946 do końca roku 1989 działał *Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk* – popularnie zwany *cenzurą*. Bez jej zezwolenia nikt nie mógł niczego w żadnej formie rozpowszechnić... I przypomnijmy też sobie, że przecież w Polsce Ludowej nie mogliśmy bez zezwolenia administracji państwowej kupić samochodu ciężarowego ani nawet tzw. samochodów dostawczych, popularnych w owym czasie *żuków* i *nys*.

Oczywiście, aż tak źle dzisiaj na razie nie jest, możemy publikować i wydawać, co chcemy i zaopatrywać się w auta, na jakie nas stać. Lecz właśnie już nie każdy, kto chce, może posiadać ziemię rolną. Ustawa nie precyzuje jednak, jakie trzeba mieć kwalifikacje, żeby nabyć ziemię i na niej gospodarować. Skoro nie ma zapisu – jest pokusa, na przykład, aby za szczytną opłatą obejść ustawowe przepisy. Jak zaś wiadomo, te metody *kupowania* możliwości, których zabrania prawo, są powszechne w państwach o władzy totalitarnej i gospodarce niewolnorynkowej.

Dlatego w PRL korupcja ratowałaśmy nasze wątle, szcztakowe swobody gospodarce i skromne zasoby finansowe. Bez mniejszych czy większych łapówek – *smarowania*, jak się wtedy mówiło – i kradzieży nie sposób było żyć, a od *stanu wojennego* również dozwolnie jeździć samochodem. Oszukiwanie i okradanie władzy – i siebie wzajemnie – było w Polsce Ludowej nagminne, traktowane jako *powinności obywatelsko-społeczne*. Kto był cyniczny, bezczelny, cwany i miał ciche poparcie partii oraz *bezpieki*, zbijał fortunę.

Przerażające jest więc, że prawa gospodarce, tworzone przez dzisiejszych polityków z prawej i lewej strony sceny politycznej, których w suwerennych wyborach obdarzyliśmy zaufaniem, ograniczają nam, podobnie jak w Polsce Ludowej, możliwości swobodnego i uczciwego zarabiania. Posłowie poprzedniej kadencji, kiedy w Sejmie *Akcja Wyborcza Solidarność*, skupiająca dziedziców ruchu walczącego wcześniej z... socjalizmem miała większość bezwzględna, uchwalili w lipcu 2001 roku ustawę o wynajmowaniu mieszkań. Zniweczyła ona wolny rynek w dziedzinie mieszkalnictwa, chroni bowiem wyłącznie najemców przed... właścicielami, którzy nie mogą, kiedy raz się zgodzą na udostępnienie lokalu, wykwaterować najemcy. Skutek tej ustawy jest taki, że właściciele wynajmują bez umów, toteż państwo na rynku mieszkaniowym nic nie zyskuje, a nie zarabiając, nie ma pieniędzy na wykonywanie swych zadań politycznych i obronnych, do których jest powołane, za to wtrąca się do każdej dziedziny życia publicznego w poszukiwaniu łatwych pieniędzy.

Ale wróćmy do wspomnianej ustawy o kształtowaniu ustroju rolnego. Groźne jest w niej i to, że tak samo jak w PRL przyznaje ona państwu prawo pierwokupu ziemi; wszelako państwo może odstąpić od swych, przyznanych sobie przemocą polityczną, prerogatyw, może na przykład pozwolić komuś kupić więcej niż 300 hektarów ziemi. Znów więc niczym w PRL są drastyczne ograniczenia gospodarce i jednocześnie działają ustawowe mechanizmy ich... uchylania, niestosowania wobec niektórych obywateli.

Których? Wiadomo – tych z układow partijnych lub tych, którzy więcej i dyskretniej *posmarują*...

Do czego takie ustawodawstwo doprowadza, doświadczyli przedstawiciele starszych i średnich pokoleń, którzy przeżyli PRL. A do czego doprowadzi Trzecią Rzeczpospolitą, rychło się wszyscy przekonamy. Chyba że natychmiast do *imenu* zniszczymy fundamenty Polski Ludowej, na których nieustannie budowane są prawa gospodarce i społeczne.

Jacek Wegner

SAMOTNY BÓJ O PRZETRWANIE (4)

W Australii nazywają ich coraz częściej *skradzionym pokoleniem*. Takie miano przyłgnięto w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku do rdzennych mieszkańców kontynentu, których kilka generacji poddano przymusowej asymilacji. Mowa o Aborygenach, którzy zasiedlili Australię około 40 tysięcy lat temu. Ich populacja liczyła około miliona osób, gdy w Australii zaczęli oiedać się pierwsi Europejczycy.

Aborygeni

Początkowo, kiedy Australia była tylko kolonią karną dla przestępców z Wysp Brytyjskich. Biali zajmowali niewielkie tereny tylko na południowo-wschodnim wybrzeżu. Nie kusiło ich wnętrze kraju, nazywane dzisiaj *interiorem*.

Zanim odkryto złoża złota i niklu, jedynym bogactwem Australii były owce i wełna. Przybywszy z Europy trzymali się więc wybrzeża, gdzie był sprzyjający klimat i żyzne łąki. Aborygeni wiedli zaś swoje tradycyjne życie w głębi kontynentu i nic nie zapowiadało, że w ciągu najbliższych lat staną u progu całkowitej zagłady biologicznej. Stało się tak za sprawą złota, które pierwszy, co warto wiedzieć, odkrył w latach czterdziestych XIX wieku polski badacz Edmund Strzelecki, ten sam, który najwyższy szczyt Australii ochrzcił *Górą Kościuski*. Masowo przybywali z Europy ludzie żądni bogactwa, przygód oraz łatwego życia. W ogromnej Australii nagle zaczęło robić się tłoczno i biali kolonizatorzy zaczęli siłą spychać rdzennych mieszkańców w głąb kontynentu.

W ówczesnej nomenklaturze naukowej Aborygenów uważano za *lud prymitywny, stojący na bardzo niskim szczeblu rozwoju*. Byli oni podzieleni na ponad pięćset plemion i szczepów, mówiących odrębnymi dialektami i posiadających swoją organizację terytorialną. To stanowiło dodatkową przyczynę, dla której swoje terytoria oddali białym w zasadzie bez oporu i walki. Nie byli w stanie sprostać cywilizacyjnej przewadze Europejczyków, którzy przywłaszczali sobie coraz większe połacie ziemi, na której mogli uprawiać pszenicę, tytoń i zakładać pastwiska. Na tym właśnie polegała kolonizacja Australii:

ziemię odbierano Aborygenom bez najmniejszego poczucia, że jest to grabież. Jeżeli zdarzyło się, że stawiali opór, to karne ekspedycje *zalatwiały* sprawę szybko i skutecznie – po prostu bez pardonu mordowano ich (także kobiety i dzieci). *Nowi osadnicy* otrzymywali od lokalnego rządu dokument, że ich ziemia stanowi ich własność.

Warto wiedzieć, że polowano na Aborygenów także dla rozrywki. Rasizm niektórych białych osadników był tak daleko posunięty, iż nie pozwalał uważać rdzennych Australijczyków za ludzi. To byli *dziocy* albo *czarne zwierzęta*, zaś ich mowę nazywano *językiem diabła*. Populacja Aborygenów, spychanych na pustynie, mordowanych, zapadających masowo na choroby przywlezione przez białych (gruźlica, syfilis) oraz wyniszczanych przez alkohol gwałtownie spadła i na początku dwudziestego wieku wynosiła zaledwie 47 tysięcy. Wydawało się, że podzielał smutny los Tasmańczyków, czyli autochtonicznej ludności pobliskiej Tasmanii, którzy, masowo eksterminowani, zniknęli z powierzchni ziemi w połowie XIX stulecia.

Od całkowitej zagłady uratowali Aborygenów misjonarze dwóch Kościołów: katolickiego i anglikańskiego. Zachęcali ich do osiedlania się na terenie swoich misji, które otwierali w środku kontynentu, co powstrzymywało białych osadników przed urządzaniem *polowań na czarne zwierzęta*. Lecyli ich i uczyli powstrzymywania się od alkoholu, nauczali ich też spożywania nowych pokarmów, bo na pustyniach, do kąd ich wypędzono, masowo umierali z głodu. Dzięki takiej ochronie liczba

rdzennych Australijczyków wzrosła w 1933 roku do 68 tysięcy. Pod wpływem akcji organizowanej przez księży rząd australijski powołał wkrótce *Biuro Ochrony Aborygenów* kierowane przez tzw. *głównego protektora*. Niektórym Aborygenom przyznano pewne terytoria w wieczyste władanie, innych przesiedlono do rezerwatów, w których były lepsze warunki życia niż na pustyni. Zakładano szkoły i starano się przystosować rdzennych mieszkańców Australii do nowoczesnej cywilizacji europejskiej.

Jednak nie skończyły się dla nich te czasy. Pod koniec lat trzydziestych XX wieku, kiedy władzę w Australii przejęła lewicowa *Partia Pracy*, powstał pomysł przymusowej asymilacji (czyli wyнародowienia) Aborygenów. Dzieci, nawet kilkudniowe, odbierano rodzicom siłą i umieszczano w specjalnych, zamkniętych zakładach. Tam uczono ich na: robotników rolnych i posługaczy.

Doris Pilkington, dzisiaj 65-letnia aborygeńska pisarka, która przeżywała w takim zakładzie w Moore River, wspomina: – *Trzymano nas w izolacji jak zwierzęta* – pisze w jednej ze swoich książek. – *Za mówienie językiem innym niż angielski szorowano nam usta szarym mydłem. Głód to uczucie, które najlepiej pamiętam z tamtych czasów...* Z tym nieludzkim eksperymentem uszczęśliwiania na siłę skończono dopiero w latach siedemdziesiątych.

Dzisiaj, kiedy Aborygeni nie są mordowani i dziesiątkowani przez głód i choroby, ich liczba wzrosła do 280 tysięcy. W większości są chrześcijanami (62 procent to katolicy), jednak ich życie wśród białych nie jest łatwe. Statystyczny Aborygen żyje o 23 lata krócej od białego Australijczyka i tylko jeden na dwunastu kończy szkołę średnią. Mimo urzędowego przyznania im pełni praw obywatelskich oraz prawa do ziemi, którą władali kiedyś ich przodkowie, rdzenni Australijczycy są nadal dyskryminowani. Jak dotąd żaden sąd nie zwrócił nikomu ziemi, która stanowi jego prawowite dziedzictwo, zaś ponad połowa Aborygenów utrzymuje się z zasiłku dla bezrobotnych.

Andrzej W. Pawluczuk

CHWILA MUZYKI

V Przykazanie

Nie zabijaj – mówi Pan. To trudne przykazanie. Jego lakoniczność opiera się naszej, tak bardzo ludzkiej, skłonności do *doprecyzowywania* (np. wyobraźmy sobie Sejm naszej RP mający uchwalić prawo *nie zabijaj*. Po wniesieniu tysięcy poprawek mielibyśmy pewnie sążnisty dokument o *ochronie życia i wyjątkowych warunkach dopuszczalności jego przerwania*, w którym do naszych, ludzkich, konkretnych spraw odnosiłby się jedynie sto pięćdziesiąty czwarty tiret przypisu na osiemdziesiątej stronie!).

FILM

Laurka dla ateizmu

Dzisiaj, żeby film się dobrze sprzedawał, potrzebna jest aura skandalu. Nie wymyślono lepszego sposobu promocji. Skandal obyczajowy odpada – wszelkie normy w tej dziedzinie zostały przekroczone. Więc może coś o religii? Dworowanie sobie z islamu lub, co gorsza z judaizmu jest nazbyt niebezpieczne, ale na chrześcijaństwo można sobie używać do woli. Mamy prostą receptę na sukces.

O czym jest *Czas Religii*? Odsłania kulisy kanonizacji – jej stronę merkantylną. Kanonizacje to dochodowy interes, na przykład dla rodziny. Przy odrobinie dobrej woli można ją sobie *zalać* w Watykanie. Wystarczy tylko znaleźć dowody świętości a potem sprzedawać w dużych ilościach życiorys świętego. Pełna komercja, sprzedaż pamiątek, pielgrzymki, pewne źródło dochodów – reżyser dzieli się z nami swoją mądrością i znajomością życia. Uduje mi się powyższy mechanizm przedstawić. Dla lepszego zobrazowania tezy postacią pozytywną jest ateista: szlachetny,

Wspaniała wielo- i jednoznaczność **Piątego Przykazania** pozwala nam na twórczą pracę myślową przez tysiąclecia. Czy zabijanie idei, uczuć, piękna także jest wykroczeniem przeciwko temu **Przykazaniu**? Kiedy muzyka myśli *nie zabijaj*, często odczuwa pokusę odniesienia tego uniwersalnego imperatywu do całkiem współczesnej masy, jaka dokonała się na niewinnej muzycznej praktyce amatorskiej za przyczyną skomercjalizowanych mediów elektronicznych. Eter dokoła pełen jest perfekcyjnych produktów muzykopodobnych; kto zaryzykuje dodanie swojej własnej, rzadko kiedy tak perfekcyjnej muzyki?

Tym bardziej należy z entuzjazmem przyjąć działania takie, jak konkurs dla chórow kościelnych *Cacilianum*. Orga-

nizatorzy tego konkursu – *Związek Chórow Kościelnych CAECILIANUM* i *Towarzystwo Muzyki Chóralnej EPIFANIA* za swym prezesem Wiesławem Jeleniem – dokładają wszelkich sił, aby duch wspólnego śpiewania w kościele nie zginął. Po raz trzeci już chóry kościelne z całej Polski spotkały się na finale w katedrze św. Floriana. Tym razem wygrał chór *DOMINICANTES* z Poznania. Ale prawdziwym zwycięzcą jest muzyka kościelna – bo zainteresowanie zarówno ze strony uczestników, jak i ze strony przybyłej publiczności pozwala mieć nadzieję, że kolejne pokolenia młodych, muzycznych ludzi zechcą jej poświęcić swoje talenty i czas. A tam, gdzie gromadzą się ludzie – trwa i rozwija się życie.

Maria Szreder

uczciwy wobec siebie, niczym *czekista* z radzieckiej czytanki. A jak wyglądają *ludzie wierzący*? Takich nie ma. Są tylko hipokryci. Też ateści, tylko z różnych względów udający wierzących.

W tle pojawia się kościół-instytucja o dziwnych, parateatralnych rytuałach, obliczonych na naiwnych, zresztą całkowicie bezsensownych. Nie jest to cytat z ateistycznej sowieckiej propagandy – dalej mówię o filmie **Marco Bellocchio**, wysławianego przez recenzentów *Gazety Wyborczej* jako nowe objawienie filmowe. W zasadzie nie wiadomo, dla czego Jury *ekumeniczne* w **Cannes 2002** przyznało nagrodę temu dziełu. Pewnie chcieli ufetować reżysera, który łaskawie zajął się problematyką bliską metafizyki.

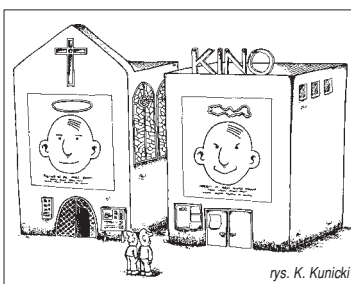
Najlepszą rolę napisano dla Leonarda, nieletniego syna bohatera, który *ma żywe odczucie istnienia Boga*. Świat dorosłych jest całkowicie zamknięty na tajemnicę. Wierzący i ateści mają gotowe recepty na wszystko. Ateizm głównego bohatera jest młodzieńczym buntem przeciwko społeczeństwu – odrzuca zarówno religijność, jak i patriotyzm w imię wolności. Znamy to myślenie. Z historii XX wieku wiemy, co się

dzieje, kiedy usunięta zostaje (niepotrzebna) hipoteza Boga w imię *wolności człowieka*. Pol Pot wyszedł ze szkoły, w której panował kartezjański kult ludzkiego rozumu.

Główne zarzuty wobec filmu: długi i nudny, bardzo schematyczny. Od strony formalnej – bardziej operuje dialogiem niż obrazem. Można było zrobić film nieco pogłębiany psychologicznie. Zrobiono ateistyczną agitkę w stylu minioniej epoki. Groźne *memento* – komunizm może odrzucić się zawsze i wszędzie. Zaczyna się od odrzucenia Boga w imię wolności jednostki.

Tadeusz Wyszomirski

Czas Religii (L'ora di religione), reżyseria i scenariusz: **Mario Bellocchio**, Włochy 2002



rys. K. Kunicki

Tylko Krzyż mógł go zwyciężyć. Ojcowie Kościoła powiadają nawet, że Krzyż Chrystusa był swego rodzaju pułapką na Szatana zastawioną przez samego Boga. *Szatan oszukany przez Krzyż – mówi Orygenes. Sama Męka i Śmierć Jezusa mogłyby jeszcze oznaczać zwycięstwo Szatana, ale Jego Zmartwychwstanie to całkowita klęska Szatana, jego ostateczna przegrana.* W tym wydarzeniu objawia się istota i wielkość chrześcijaństwa, która pozwala także zrozumieć, czym jest zło, jak działa w świecie i wśród ludzi, czy może zdobyć władzę i zwyciężyć?

Szatańskie wersety

Rene Girard, francuski myśliciel, działający głównie w Ameryce, napisał bardzo interesującą książkę o o zasadniczej różnicy w podejściu do zła między chrześcijaństwem a innymi religiami, zwłaszcza wcześniejszymi, opartymi na różnych mitologiach. Nie jest on teologiem, lecz religioznawcą, błądzącym archaicznych kultur, próbującym dociec istoty podstaw cywilizacji europejskiej. W książkach takich, jak *Przemoc i sacrum* czy *Kozioł ofiarny* daje własną interpretację funkcjonowania społeczności archaicznych, opartych na religii natury i wierzeniach mitologicznych. Uważa, że społeczeństwa te posługują się dla swej integracji (również ze światem nadprzyrodzonym) przemocą kolektywną, której wynikiem jest krwawa ofiara z ludzi. Ofiara zostaje później wywyższona i ubóstwiona dla zatarcia dokonanego zła. Przez jej sakralizację również wspólnota ludzka zostaje oczyszczona z winy. Tak podstępnie i przewrotnie działają siły zła ujawnione później w postaci Szatana.

To właśnie w chrześcijaństwie zostaje odwrócony ten pierwotny, prymitywny porządek rzeczy. Najpierw ofiara i męka Chrystusa wyglądają tak samo jak dawniej: tłum ogarnięty zbiorową przemocą żąda ofiary Chrystusa, wydaje Go na mękę i śmierć. Szatanowi, jak zawsze dotąd, udaje się ta sama prowokacja wobec tłumy: *znalazłem dla was kozła ofiarnego, ofiarnego baranka, ten jest winny całemu złu, które was dotyka. Sami wiecie, co należy zrobić.* Śmierć Chrystusa wydaje się triumfem Szatana, potwierdza winę Jezusa w oczach tych, co Go skazali na śmierć, ujawnia zarazem w pełni ich nienawiść. Wszyscy, jak Piłat, mogą umyć ręce.

Lecz Zmartwychwstanie Chrystusa obala po raz pierwszy ten powtarzany od wieków szatański proceder.

W chrześcijańskim przełomie objawia się po raz pierwszy, że Chrystus był ofiarą całkowicie niewinną i dobrowolną, a przez ujawnienie tej niewinności zostaje pokazana w pełni zatarta przedtem wina tłumy ludzi ogarniętych infekcją zła, porywem przemocy, szatańskim pokuszeniem. To Bóg sam złożył w ofierze swego Syna, by objawić ludziom ich słabość i zależność od sił wyższych, a zarazem dał nadzieję zbawienia. Pokazał, że człowiek nie jest zły z natury, lecz jest podatny na podszepty zła i nie może sam sobie poradzić.

Książka Girarda *Widziałem Szatana...* jest cenna, bo przekonuje, że dla wielu najnowszych nawet nauk humanistycznych i ścisłych, dla dzisiejszej kultury i panującego ducha czasu, dla kierunku rozwoju naszej cywilizacji chrześcijaństwo nadal pozostaje prawdziwą i pełną odpowiedzią.

Zło w świecie chyba dla wszystkich jest realne. Czy równie realna jest dziś postać Szatana? Wierzmy w zło, ale czy wierzmy w istnienie Szatana? Nawet wierzący nie bardzo w niego wierzą. Wolą widzieć w nim jakąś abstrakcję, metaforę lub strachy z przeszłości. Diabeł wydaje się wstydliwie nienowoczesny. Jak zauważył już dawno Baudelaire: *jego największą sztuką jest przekonanie ludzi, że on sam już nie istnieje.* Sztuka prawdziwie nihilistyczna. Więc nie wypada wierzyć w diabła, bo jest to wstydliva słabość, która nas dyskredytuje w oczach bliźnich. Dlatego ci, co już muszą wypowiadać się o diable, to ostrożnie i naukowo, byleby tylko nie

przynąć się do nadmiernego zaangażowania w sprawę. Boją się tego, jak diabeł święconej wody. Woleliby się chyba przyznać do największych święństw na własną rękę niż do bliższej znajomości z diabłem. Boję się, że diabeł posługuje się nimi jeszcze sprytniej niż dawniej. Istnieje więc sporo dzieł o tym, że diabeł jest tylko ludzkim wymysłem, wytworem chorej wyobraźni lub lęku, albo też personifikacją zła, które się przydarza lub między ludźmi powstaje. Jest więc wytworem społecznym, i nawet jeśli nie istnieje realnie, to przecież jakoś działa.

Dobrym przykładem takiego kompromisowego, by tak rzec, podejścia do diabła jest książka znanego francuskiego historyka Georges'a Minois pt. *Diabeł*. Nie przekonuje on wierzących w realność diabła do porzucenia wiary, lecz spisuje dzieje tej postaci w kulturze tak, że nie wiadomo czy jest on realną postacią czy postacią mitologiczną albo nawet literacką, płodem zbiorowej, indywidualnie modyfikowanej wyobraźni. Przy czym autor skłania się raczej ku literaturze i kulturalnej historii niż ku twardemu bytowi, wierząc w moce ludzkiego umysłu, a nie w moce nadprzyrodzone. Dla diabła to również nie jest złe wyjście: jeśli trudno utrzymać się w staniu nicości, to dobrze jest w ostateczności mylić tropy, wcielając się w różne, zaskakujące role.

Myślę, że może się to spodobać naszemu bohaterowi o wiele bardziej niż wynurzenia konkurencyjnego badacza w poprzedniej książce, który całą sprawę wziął sobie zbyt poważnie do serca i ujawnił się jako poważny nieprzyjaciel diabła. Swoją drogą, diabeł nadal daje zatrudnienie wszystkim, zarówno zwolennikom, jak i przeciwnikom.

Marek Klecel

Rene Girard; Widziałem szatana spadającego z nieba jak błyskawica; przekł. Ewa Burska, **Instytut Wydawniczy PAX**, Warszawa 2002

Georges Minois, Diabeł, przekł. Ewa Burska, **Instytut Wydawniczy PAX**, Warszawa 2001

Anna Sokół

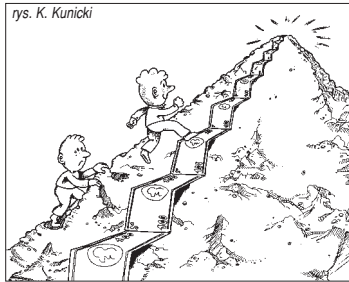
Sponsor

Romek był jedynym dzieckiem państwa Bogdanowiczów. Matka prowadziła na Starym Rynku galerię obrazów. Ojciec miał prywatną firmę. Pan Bogdanowicz finansował wszystkie ważne przedsięwzięcia szkoły. Kiedy przeciekał dach, robotnicy z przedsiębiorstwa pana Bogdanowicza naprawili go w trzy dni. Przy okazji przebudowali wejście do budynku. Nie postawiła żadnej oceny. Kiedy zadałam zadanie domowe, nie zapisał nawet tematu pracy. W ogóle nic nie pisał, tylko patrzył w okno.

W domu położyłam stertę zeszytów na biurku. Na wierzchu leżał zeszyt Romka. Na jednej kartce był tekst wypracowania. Zaczęłam czytać. Litery przypominały zdemastrowany plot. Ponieważ nie mogłam odczytać nawet jednego wyrazu, nie postawiłam żadnej oceny.

Pan Bogdanowicz pojawił się w pokoju nauczycielskim następnego dnia. – *Dlaczego nie sprawdziła pani prac swojego syna?* – zapytał bez słowa wstępu.

- *Nie mogę pańskiego syna odczytać i dlatego nie sprawdzam.*
- *Jak to nie może pani odczytać?*
- *Bo ja, proszę pana, jestem nauczycielką, a nie grafologiem.*
- *Wszyscy jakoś odczytują swojego syna.*
- *Ale ja nie mogę.*
- *To będzie pani musiała.*
- *Nie rozumiem.*
- *Romek bardzo się stara. Ze wszystkich przedmiotów ma dobre stopnie, tylko u pani trzy jedynki.*



- *Romek nie umie podstawowych rzeczy, jak on zda maturę?*
- *O to nie musi się pani martwić.*
- *A jednak się martwię. Romek musi zacząć się uczyć i starać się inaczej pisać.*
- *Jak to inaczej?*
- *Żadnej jego pracy nie mogę odczytać.*
- *On ma taki charakter pisma. Teraz się pisze na komputerze.*
- *Czasem trzeba coś napisać ręcznie, na przykład maturę.*

Pan Bogdanowicz spojrzał na mnie, a potem odwrócił się i bez słowa wyszedł z pokoju nauczycielskiego.

Od II semestru Romek zaczął chodzić do prywatnego liceum tuż obok naszej szkoły. Czesne wynosi tam 800 złotych za miesiąc nauki, ze zniżką 20 procent na miesiące wakacyjne.

**CHODŹ Z NAMI
BUDOWAĆ KRÓLESTWO BOŻE!**

Misjonarze Św. Rodziny

zapraszają młodzież męską w swoje szeregach na wspólne przeżywanie wakacyjnej włości z Bogiem, która będzie okazją do poszukiwania własnej drogi za Jezusem.

A oto proponowane terminy:

21 – 30 czerwca	SZCZYTNIK /Kotlina Kłodzka/
9 – 18 lipca	OTWOCK k. Warszawy
20 – 25 sierpnia	CIECHOCINEK

W przypadku dużej liczby chętnych decydować będzie kolejność zgłoszeń. Zgłoszenia, jak również bliższe informacje o naszej rodzinie zakonnej pod adresem:

REFERAT POWOLAŃ MSF; ul. Kołłątaja 80/82; 05-402 OTWOCK 4
tel.: (0-22) 788 22 79; kom.: 0-604 213 486;
e-mail: powolaniamsf@msf.opoka.org.pl

LISTY – POLEMIKI – LISTY – POLEMIKI – LISTY – POLEMIKI

Szanowna Redakcjo!

Jan Paweł II w konstytucji *Fidei depositum* pisze: *Katechizm Kościoła Katolickiego... wyklada wiarę Kościoła i naukę katolicką, poświadczoną przez Pismo Święte, Tradycję apostołską i Urząd Nauczycielski Kościoła i w ich świetle rozumiane...* Będąc w mym posiadaniu egzemplarz *Katechizmu*, wydany w 1994 r., zawiera (kan. 1928 i nast.) cały podręcznik poświęcony *sprawiedliwości społecznej*. Tymczasem w marowym numerze *PiP S. Michalkiewicz i J. Pruszyński*, niezależnie od siebie, praktycznie negują pojęcie *sprawiedliwości społecznej*, a jeden z nich wręcz insynuuje jakoby dążenie do praktycznej realizacji *sprawiedliwości społecznej* było sprzeczne z *Dekalogiem*.

I jeszcze kilka słów na temat artykułu *S. Michalkiewicza*. Nieprawdą jest, jakoby faktyczna stopa podatkowa w Rosji wynosiła 13 proc., a w Irlandii 11 proc. Nieprawdą jest również zdanie, że w Polsce ok. 85 proc. wpływów... z podatku dochodowego od osób fizycznych pochodzi od podatników zaliczonych do I grupy, a więc ubogich. Według publikowanych w *Rzeczpospolitej* oficjalnych danych ministerstwa odsetek ten wynosił: 67 proc. – w 1997 r.; 54,5 proc. – w 1999 r. i ok. 52 proc. w 2000 r. To po pierwsze. Po drugie, nonsensem jest utożsamianie *wszystkich* podatników I grupy z ludźmi ubogimi.

I ostatnia sprawa. *S. Michalkiewicz* ma kłopot z pogodzeniem *państwa prawa* z zasadami *demokracji*, w której decyduje wola większości. Postuluje w miejsce *demokracji – nomokracji* czyli *rzeczy normy* polegające na *trzymaniu się uznanych za słuszne zasad, bez względu na to, co akurat mniema większość*. Wspaniale! Rad bym jednak wiedzieć: *któ* będzie uznawał, które zasady są słuszne, a które są niesłuszne. Jako *człek złośliwy i leciwy* podejrzewam, że to prawo winno przysługiwać p. Michalkiewiczowi i tylko niektórym aktywistom *UPR*.

Andrzej Podgórski

Rewokuję

Nigdy nie było łatwo być chrześcijaninem, ale teraz może być jeszcze trudniej. Na przykład, trzeba wierzyć w *sprawiedliwość społeczną*, o czym przypominał mi niedawno *Andrzej Podgórski*, zwracając słusznie uwagę, że demonstrowanie sceptycyzmu wobec *sprawiedliwości społecznej* jest propagandą herezji. W tej sytuacji nie pozostaje mi już nic innego, jak tylko posypać sobie resztki włosów na głowie popiołem ze spalonych dzieł zebranych Korwina-Mikkego i, podkaszając wór pokutny, udać się w miejsce pustynne, by tam, pod kierownictwem pani posłanki Izabeli Sierakowskiej, zgłębiać zasady *sprawiedliwości społecznej*.

Na początek postaram się entuzjastycznie uzasadnić pomysł uzależnienia wysokości skali podatkowej od dochodu na osobę w rodzinie, jak słusznie postuluje *A. Podgórski*. Domyślam się, że istota tego pomysłu polega na tym, by skala podatkowa zmniejszała się w miarę zmniejszania się dochodu na osobę w rodzinie, a zwiększała się w miarę zwiększania się dochodu na osobę w rodzinie. Jeśli, damy na to, na osobę przypada 500 zł miesięcznie, to podatek mógłby być wymierzony w dotychczasowej skali, tzn. 19 procent. Jeśli natomiast dochód na osobę zbliżyłby się do zera to i stawka podatkowa też powinna być zera. To chyba jasne.

Nietrudno się domyślić, że taki system podatkowy zachęcałby albo do zwiększania liczby członków rodziny, albo do zmniejszania dochodu, bo i jedna i druga metoda prowadzi do zmniejszenia obciążenia podatkowego rodziny. Można zresztą połączyć obydwie metody, to znaczy zwiększyć liczbę członków rodziny, ale dochód zmniejszyłby tylko w zeznaniu podatkowym, ukrywając jego część w tzw. *szarej strefie*. Robi to już dzisiaj spora część podatników, bo, jak już pisałem, około 28 proc. *PKB* w Polsce wytwarzane jest

właśnie w *szarej strefie*.

Niestety, obawiam się, że skoro nawet ja wpadłem na taki pomysł, to kontrolerzy zatrudnieni w urzędach skarbowych pewnie też. Nie jest też wykluczone, że w ramach dalszego doskonalenia systemu, ukazałyby się przepisy określające wartość np. osobistych usług świadczonych domownikom, np. przez matkę zajmującą się prowadzeniem domu. Czy wartość tych usług wliczać do dochodu tej rodziny dzielonego następnie między poszczególnych jej członków, czy przeciwnie – odejmować od dochodu podlegającego podziałowi?

Najważniejsze jest jednak (co usiłowałem nieudolnie wykazać) zaciśnienie więzi rodziny z aparatem państwowym. Z uwagi na znaczną, a daj Boże, rosnącą liczbę rodzin do skontrolowania państwowy aparat skarbowy musiałby być odpowiednio liczny – znacznie liczniejszy, niż teraz. Ale to właśnie bardzo dobrze, bo zwiększenie zatrudnienia w aparacie skarbowym doprowadziłoby do zmniejszenia, a może nawet całkowitej likwidacji bezrobocia. Dzięki temu wzrosłoby zadowolenie ludzi pracy, a taki wzrost zadowolenia to nieomyślny znak, że *sprawiedliwość społeczna* zaczyna już działać.

Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Być może za wyjątkiem prawdopodobnej konieczności zwiększenia obciążeń podatkowych przypadających na członka rodziny w związku z potrzebą zwiększenia zatrudnienia w aparacie skarbowym. Ale to nie ma nic do rzeczy, bo ważna jest nie tyle wysokość obciążeń, co sprawiedliwe rozłożenie ciężaru, a właśnie takie by ono było. *UPR* głosiła, co prawda, że co najmniej tak samo ważny, a może nawet najważniejszy jest poziom obciążenia podatkowego, ale nie ma co zaprzęcać sobie głowy takimi głupstwami, tym bardziej że społeczeństwo już poznało się na tych ananasaach i nie udziela im swego poparcia, preferując *SLD* oraz pana *Andrzeja Leppera*, który *sprawiedliwości społecznej* nigdy nie bluźnił.

Stanisław Michalkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Dzieci nas rozliczą

Zastanawiając się nad stanem czytelnictwa w naszym kraju, prezes *Polskiej Izby Książki* Andrzej Nowakowski podaje w *Gazecie Wyborczej* (8.05.) alarmujące liczby. Ponad połowa Polaków deklaruje, że w ogóle nie czyta książek, zaś przynajmniej jedną w roku kupuje niecała jedna trzecia dorosłych. Na dołatek od 1990 roku maleje systematycznie liczba bibliotek publicznych; szacuje się skromnie, że ubył ich ponad dwa tysiące. Najwięcej tam, gdzie dostęp do książki był zawsze nielatywny i gdzie zawsze żyło się najbiedniej: na wsiach i w małych miasteczkach. Ale nie tylko. Posiadanie dobrze zaopatrzonej wypożyczalni należało kiedyś do ambicji co większej fabryki. Biblioteki z literaturą piękną prowadziły związki zawodowe (jeżeli gdzieś w Polsce jest taka biblioteka pod szyldem *Solidarności* – proszę o wiadomość do redakcji *PIP*). Ba – nawet w PGR-ach istniały wypożyczalnie i urządzano konkursy czytelnicze. Od lat tego wszystkiego już nie ma. Biblioteki znikły corocznie i nie wywoływało to żadnego niepokoju ani u kolejnych rządów, ani u lokalnej administracji. A ponadto na zakup nowości biblioteki dostawały każdego roku (i dostają nadal) coraz mniej pieniędzy. Skutek jest taki, że na 100 tysięcy mieszkańców polskie biblioteki kupują ponad dziesięć razy mniej książek niż biblioteki w krajach *Unii Europejskiej*. Andrzej Nowakowski konkluduje: *całe polacie kraju całkowicie pozbawione są dostępu do książek* i ocenia, że aby radykalnie poprawić sytuację, należałoby wydać około 20 milionów złotych.

Dużo to, czy mało? Odpowiedź zależy od tego, w jaki sposób zechcemy poszukać tych pieniędzy. Jeżeli należałoby po te dwadzieścia milionów sięgnąć do kieszeni podatników albo zabrać te pieniądze służbie zdrowia, nauce lub oświacie, to oczywiście jest to kwota ogromna. A, jeśli przypomni sobie luksus-

we rezydencje dla (nieistniejących już) **Kas Chorych**, chociażby w Warszawie i Białymstoku, jeśli wspomniemy przeraźliwie drogie limuzyny dla ich dyrektorów oraz lokalnych kacyków samorządowych, jeśli policzymy dodatkowo wielosetysięczne pensje i premie dla członków rad nadzorczych rozlicznych spółek **Skarbu Państwa**, to okaże się, że owe 20 milionów złotych pochodzących z kieszeni podatnika to suma niewielka. Nie sądzę, aby istniał jakkolwiek pozytywny związek pomiędzy biurami (oraz limuzynami, premiami i wyjazdami na zagraniczne *szkolenia*) **Kasy Chorych** a jakością leczenia na podległym im terenie. Taki związek oczywiście istnieje, ale – jak przytomnie zauważył w *Rzeczpospolitej* obecny minister zdrowia – te pieniądze zamiast na przyjemności dla urzędników powinny być wydane na poprawienie stanu lecznictwa. Tymczasem, jak donosiły wszystkie media, 12 maja znowu w całym kraju protestowały pielęgniarki, ponieważ różne placówki służby zdrowia zalegają im z wypłatą pensji. O manifestacji urzędników **Kas Chorych** nikt nigdy w Polsce nie słyszał...

A więc pieniądze są, szkoda! Jednak w tym, że nie u tych (i nie w tych instytucjach), którzy ich najbardziej potrzebują. Na tym tle powszechnego i bezkarnego szastania publicznym groszem warto przyjrzeć się planom ministra Kołodki, których celem jest rzekome *uzdrowienie*. Rząd starłby się przede wszystkim ukrócić marmotrawstwo i rozdawanie różnej maści *kolesiom* pensji, które nawet w najbogatszych państwach budzą zdumienie (kilkaset tysięcy złotych miesięcznie!). Wzięłyby się stanowczo za zwalczanie szalejącej korupcji. Uzdrowiłby system pracy w urzędach skarbowych, przez które, dzięki łapówkom i *uznaniom ulgom*, wyciekają z budżetu grube miliardy. Wzięłyby się ostro za tzw. *mafię paliwową*, która zdaniem *Rzeczpospolitej*

uszczupla każdego roku dochody państwa o ponad miliard. Wykryta niedawno afera korupcyjna w zakopiańskiej *skarbowce* jest tylko jednym z dowodów na to, że administracyjny aparat państwa coraz chętniej i częściej występuje się przestępcom. Joanna Solska pisze o tym w *Polityce* (3.05. br.) bez owijania w bawełnę: *Tymi, którzy podatków nie płacą, fiskus zajmuje się niechętnie albo wcale*. I dodaje własny komentarz: *politycy nie są zdolni do poprawienia funkcjonowania aparatu państwa tak, aby lepiej gospodarować naszymi pieniędzmi*. Niestety, w planie Kołodki, ogłoszonym pod chwytliwym hasłem obniżenia stawek podatkowych, nie ma ani słowa o przeciwdziałaniu rozlicznym patologiom, z czego jednoznacznie wynika, iż rząd w ogóle nie przejmując się tym, że miliardy złotych z kieszeni podatników są jawnie rozdawane i bezkarnie rozkradane. Ale jeszcze groźniejsza jest specyficzna *filozofia podatkowa* ministra Kołodki, którą bardzo trafnie ocenia w *Rzeczpospolitej* (26.05.) Dariusz Rosati. Twierdzi on, że obniżenie najniższej stawki podatkowej z 19 do 17 procent jedynie nieznacznie pobudzi konsumpcję u najmniej zarabiających osób, w najmniejszy sposób jednak nie przyczyni się do pobudzenia gospodarki. Konkludując, Rosati pisze, że *taki kształt propozycji podatkowych świadczy o braku zrozumienia przyczyn obecnego kryzysu (gospodarczego)*.

Fachowcy od spraw ekonomicznych od dawna twierdzą, że najpewniejszym sposobem uzdrowienia polskiej gospodarki (a zatem i finansów publicznych) jest taka polityka rządu, która zachęca do uczciwych inwestycji przy jednoczesnym ograniczaniu korupcji i tzw. *szarej strefy*. Jednak mimo tych opinii rząd Millera i idzie w *zaparte*. Głuchy na wszelkie rady i ostrzeżenia jest kolejny rząd, który nie ma żadnej wizji państwa i żadnego sensownego programu. Jest rządem, którego jedynym programem polega na tym, aby przetrwać do następnych wyborów. A kraj? A Polska? Nie po raz pierwszy i, zapewne, nie ostatni rządzą nami ludzie, dla których Polska to puste słowo.

AWP

Wydawca Miesięcznika PIP:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia Św. Michała Archanioła.
Dyrektor Wydawnictwa Michalineum
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje Zespół:

red. naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771-45-95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PIP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k/Warszawy.
Telefon Wydawnictwa: (22) 781-16-40.

Skład, łamanie, druk:

Drukarnia **MICHALINEUM**.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł.
Opłatę na prenumeratę należy wpłacać na konto:

PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
55-10201042-122460033

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy. Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym.

W przypadku większej ilości egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na czasopismo
prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
(Dział Kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. (22) 781-14-20.

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością
egzemplarzy archiwalnych.

Czasopismo można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katyńa 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych



Najwybitniejsze postaci Kościoła zwykle zaczynają rozmowy o Papieżu stwierdzeniem, że *jest to człowiek wielkiej modlitwy*. Nadworny fotografik i dokumentalista wielu papieskich podróży ewangelicznych pisał kiedyś w *Powściągliwości i Pracy* o tym, że gdy wczesnym rankiem wchodzi się do papieskiej kaplicy, od razu uderza w oczy wielka, biała bryła modlitwy. Cały Jego pontyfikat – można by rzec – zanurzony jest w głębokiej modlitwie, bez względu na wszelkie okoliczności czasu i przestrzeni liczonej niejednokrotnie dziesiątkami tysięcy kilometrów. Papież jest dla nas wielkim Nauczycielem modlitwy. Idzie do ludzi z czymś niezwykłym, co trzeba

by nazwać chyba *pedagogią modlitwy*, wychowaniem do modlitwy. Więcej – mówi wprost, iż *trzeba wychowanie do modlitwy uczynić kluczowym elementem wszelkich programów duszpasterskich*. Jan Paweł II mówi wręcz o *sztuce modlitwy*, która jest fundamentem pedagogiki świętości. Papież – polski poeta, sam tworzy przepiękne modlitwy poetyckie i przedstawia je podczas spotkań ewangelizacyjnych z Ludem Bożym. *Nazywając Ojca Świętego Papieżem wielkiej modlitwy* – mówi kard. Zenon Grocholewski – *dotykamy najbardziej żywotnego nerwu Jego osobowości, nerwu Jego wielorakiej twórczości, światła, jakim promieniuje i zarazem Jego mocy w działaniu*. Modlitwa, której uczy nas Jan Paweł II, jest niezbędnym, codziennym oddechem i trwaniem w Bogu.

Wydawnictwo *Michalineum*, wyrażając wdzięczność Ojcu Świętemu za tę iście błogosławioną *pedagogię modlitwy*, postanowiło wraz z **Grzegorzem Gałązką** – watykańskim fotografikiem – uczcić kolejne urodziny i jubileusz pontyfikatu naszego Wielkiego Rodaka wydaniem nowego albumu *Jemu poświęconego*. W niezwykle sposób dokumentuje on modlitwę Jana Pawła II podczas Jego podróży apostołskich po Europie, Azji, Afryce, przede wszystkim zaś jednak Jego modlitwę w świętym mieście Rzym.

Trzy rzeczy różni ten album od poprzednich edycji naszego Wydawnictwa: po pierwsze – fotostyż dotycząca tematu modlitwy Papieża ukazanej na różnych etapach Jego pontyfikatu. Po drugie – album zawiera teksty kustoszów najważniejszych sanktuariów w Polsce, wpisując w historię świętych miejsc wizyty Papieża Rodaka. Po trzecie – całość jest utkana wspaniałymi modlitwami poetyckimi Ojca Świętego, w tym z modlitwą w Kalwarii Zebrzydowskiej. Zapewniam, że nawet tych, którym już *opatrzyły się* krocie papieskich fotostów, ten album jest w stanie głęboko poruszyć.

Album: *Panie, naucz nas modlić się*: ze zdjęciami **Grzegorza Gałązki** i z pięknym wstępem **kard. Zenona Grocholewskiego**, można nabyć pod adresem:

Wydawnictwo **Michalineum**
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki

tel. (22) 781 14 20, fax (22) 771 36 15
e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 55 zł plus koszt wysyłki.